

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. **Kraków, 28 grudnia 1907.** **Nr. 52.**

W noc Bożego Narodzenia.





W noc Bożego Narodzenia.

Śpiewają w Niebie chóry anielskie
O świętem mieście, o Betlejemie,
Że się skończyła ludzka niedola,
Że zbawca świata przyszedł na ziemię.

Oto z przedwiecznych świętych wyroków
Bóg się narodził w „lichej stajence“,
Maryja tuli dziecię do łona
A Józef nad niem wyciąga ręce.

I błogosławi dzień i godzinę,
W której się spełnił ów cud nad cudy,
Jakiego nigdy nie będzie potem,
Jakiego nigdy nie było wprzódy.



I pastuszkowie ślą przy stajence
Korną modlitwę ze serca wnętrza:
„Bądź pozdrowione Święte Dzieciątko!
„Bądź pochwalona Panno Najświętsza!“

Wszędzie wesele, radość i szczęście
Wszystkim się ludzkim sercom udziela,
Ale jest jeden naród na ziemi,
Ach! dla którego nie masz wesela!

W krwawych zapasach z odwiecznym wrogiem
Już mu nie staje sił do wytrwania,
Z progów chat własnych, z ojczystej ziemi
Brutalna wroga dłoń go wygania.

Przy ich ołtarzach głucho i pusto,
Rodzajne pola leżą odłogiem,
Wolno im tylko cierpieć w cichości,
Wolno się tylko skarżyć przed Bogiem.

Niknie z przed oczu w mgle oddalenia
Ta rola Ojców, która ich karmi,
A strzegą granic rodzinnej wioski
Z bagnetem w ręku — pruscy żandarmi!

I ustępują wydziedziczeni
Przed uzbrojoną tłuszczą niemiecką,
Wzdycha mąż, szlocha głośno niewiasta
I kwili cicho przy piersi dziecko.

„Żegnaj nam żegnaj, ojczyste niebo!
I ukochana rodzinna ziemio!
Kędy nam zorze życia zabłysły,
Gdzie Ojców naszych popioły drzemią!

Już nam nie orać tej ziemi pługiem,
Ani nie patrzeć w blask tego słonka,
Ani pospieszym już do kościoła
Jak co niedzieli — na odgłos dzwonka.

O! Matko Boża! Spojrz na lud biedny!
Łaski Twej błaga rzesza tułacza,
Zlituj się doli polskiego chłopa
Stróża tej ziemi, roli oracza!

Wejrz na niedolę Twoich wyznawców,
Dla których znikł już pokój i szczęście,
I przeciw gwałtom krzyżackiej roty
Wlej męstwo w serca i uzbrój pięście!

Tak się to modlił lud z chat wygnany,
Takie w powietrzu płynęły jęki,
Tak chłop poznański, mieszczan, robotnik
Wzywał pomocy świętej Panienki.

Cisza!... wiatr tylko szumi nad głową
W dali — kontury wioski majaczą,
Idzie wyzuty z ziemi tłum szary
Hen! za granice w drogę tułaczą!

Jakaż mu dola w świecie pisana?
Kto doń pospieszy dziś z słowem Bożem?
Może niejedni zamrą gdzieś w drodze.
A inni zginą za setnem morzem?...

A może inni — ojczystej mowy
Zapomną z czasem między obcemi,
Może się Wiary Ojców wyrzekną
I stracą pamięć rodzinnej ziemi?!...

„Daremna rozpacz twa polski ludu,
Próżno serdeczne łzy twoje biegą
Do twoich zagród, do progów twoich,
Pruscy żandarmi przystępu strzegą!

Idź! idź! w obczyźnie złożyć twe kości,
Boś zdany tylko jest sam na siebie!
Nie masz obrońcy, nie masz patrona
Ani na ziemi, ani nai niebie!...“

Lecz w tem się cud stał!... Na czele ludu
Zjawia się postać świetlana żywa,
Z gwiazd — na Jej skroniach świeci korona,
Z ramion opona świetlista spływa!

Wygnańcy Postać świętą poznali,
Przed Majestatem wszyscy się korzą,
Bo w niej poznali swoją Patronkę
Królowę Polski i Matkę Bożą.

Nagle otucha wstępuje w serca,
Patrzą w tę Postać i spieszą za Nią,
Bo teraz wiedzą, że już nie zbłądzą
Za swą Patronką, za swoją Panią.

A Ona drogę ręką wskazuje
I do zbolałych serc tak przemawia:
„O! nie wątp we mnie polski narodzie
Chociaż cię gnębią niemców bezprawia!

„Nie nadaremne twoje cierpienia
Ani łzy twoje marnie nie zginą,
Pójdź ludu ze mną, gdzie cię prowadzę
Razem ze świętą Moją Dzieciną!...

„Z ufnością oczy swe zwróć ku Niebu,
Bo sprawiedliwość znajdziesz swą — nie tu!
Zaufaj Bogu!... Bóg Ci niebawem
Zgotuje słuszną chwilę odwetu!“

Kruk.

Od Redakcyi.

Z okazyi Świąt i Nowego Roku, zasyłamy wszystkim Czytelnikom, Prenumeratorom, Korespondentom i Przyjaciołom naszego pisma,

serdeczne Życzenia Wesołych Świąt i pomyślności.



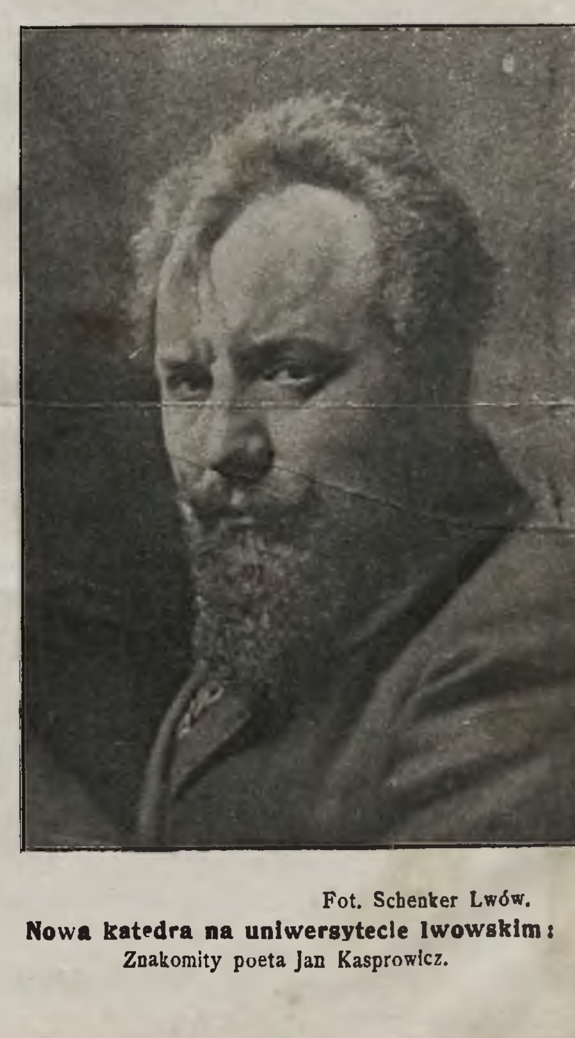
Od Wydawnictwa.

Wszystkich naszych P. T. Czytelników prosimy o nadsyłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uregulowania nakładu wydawnictwa. — Prenumeratorzy galicyjscy otrzymają z niniejszym numerem gotowe przekazy pocztowe, a to celem ułatwienia im przesyłki prenumeraty.

Prenumeratę nadsyłać należy **w Galicyi: do Administracyi** naszego pisma **Kraków, ul. Zacisze 7., w Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem, do**

Biura G. Ungra w Warszawie,
Aleja Jerozolimska 78.

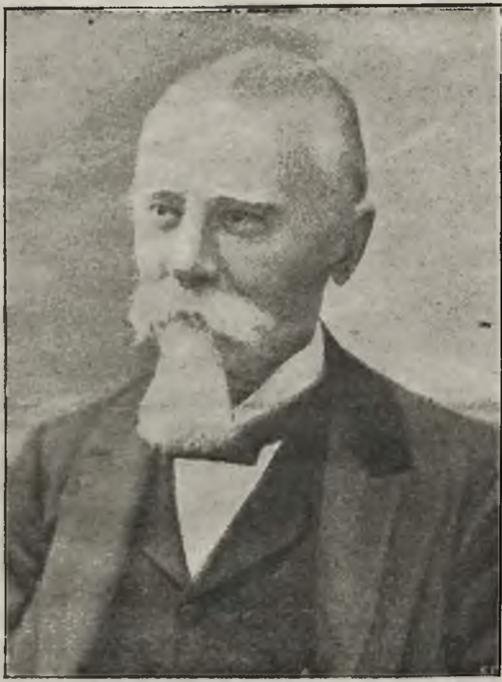
Wszyscy nowoprzystępujący Abonenci, którzy zaprenumerują pismo nasze **w Centralnej Administracyi przy ul. Zacisze L. 7.** i tam wprost nadeślą przedpłatę, jak również P. T. Abonenci w Królestwie, którzy pismo zaprenumerują wprost **w biurach Ungra** — otrzymają **bezpłatnie** początki drukujących się obecnie powieści pod tytułem **„Kolejarze“ „Niewinnie posądzony“.**



Fot. Schenker Lwów.
Nowa katedra na uniwersytecie lwowskim:
Znakomity poeta Jan Kasprowicz.

Nowa katedra na uniwersytecie lwowskim.

Uniwersytet polski we Lwowie ma w najbliższej przyszłości otrzymać nową katedrę, a mianowicie katedrę literatury porównawczej. Z odnośnem



Laureaci Nobla: E. T. Moneta.
(Do artykułu na str. 18).

żądaniem zwrócił się już senat wszechnicy lwowskiej do ministeryum oświaty, proponując równocześnie jako kandydata na profesora tego przedmiotu znakomitego poetę Jana Kasprowicza.

Wybór senatu spotkał się z bardzo gorącem uznaniem młodzieży akademickiej, która przez usta delegacyi swojej wyraziła podziękowanie zarówno za uchwałę co do stworzenia nowej katedry, jak za wniosek powierzenia jej Janowi Kasprowiczowi.

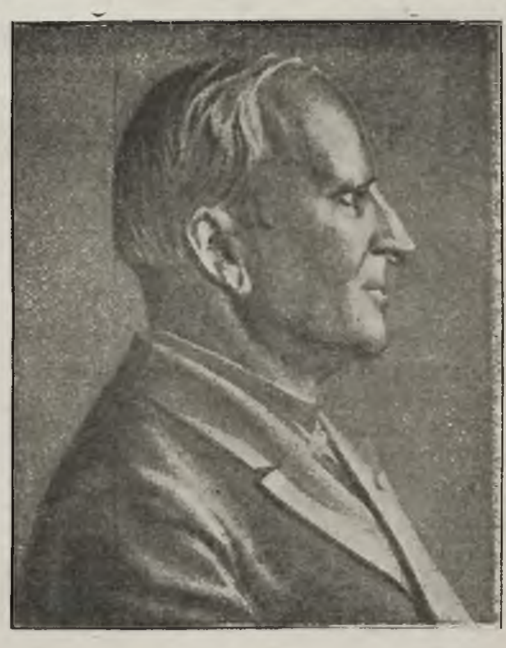
Kasprowicz, najwybitniejszy z żyjących poetów polskich, urodził się 1860 r. w Szymborzu na Kujawach w W. Ks. Poznańskiem i po ukończeniu szkoły średniej studyował filozofię na uniwersytetach w Lipsku i Wrocławiu. Następnie przeniósł się do Galicyi i tu rozpoczął swą działalność literacką. Pracował przez szereg lat w redakcyi „Kuryera lwowskiego“, prowadząc tam dział krytyki teatralnej. Po ustąpieniu z redakcyi „Kuryera lwowskiego“, pracował przez jakiś czas w redakcyi „Słowa polskiego“, następnie zaś uzupełnił swe studya uniwersyteckie i zdobył stopień doktora filozofii. Wnet potem opuścił Lwów i zamieszkał stale w prześlicznym Poroninie, gdzie oddał się wyłącznie pracy literackiej. Od roku 1883 ogłosił bardzo wiele większych i mniejszych utworów poetyckich, między tymi kilka dramatycznych. Najbardziej znane, to poemat religijno-społeczny „Chrystus“, dalej zbiór powieści lirycznych pt. „Anima lacrimans“, „Wojtek Skiba“, „Krzak dzikiej róży“, potężny poemat „Miłość“, wspaniały, porywający hymn „Święty Boże, Święty Mocny“, i „Salve Regina“, a z dramatycznych „Bunt Napierskiego“, zwłaszcza zaś jeden z ostatnich utworów „Uczta Herodyady“, który wystawiony w ubiegłym roku na scenie lwowskiego teatru, zdobył sobie ogromne powodzenie. Ponadto przetłómaczył Kasprowicz bardzo wiele utworów z literatur obcych, współczesnych, oraz szereg dzieł klasycznych.

Jan Kasprowicz, to indywidualność potężna, poeta natchniony iskrą Bożą, umysł szeroki i wszechstronnie wykształcony. W poezyach jego podziw budzą nietylko tematy wspaniałe, nietylko ich ujęcie, ale i forma. Projekt powołania go na katedrę literatury porównawczej spotkał się też z uznaniem nietylko młodzieży, ale i szerokich kół społeczeństwa.

Zacięta walka atletów.

Londyński teatr „Pavillon“ urządził w ostatnich dniach turniej zapaśniczy, do którego stanęli najsławniejsi siłacze całego świata. Między innymi stanął w szrankach bojowych i nasz Zbyszko Cyganiewicz, któremu po długiej walce z olbrzymem Podubnym przyznano zwycięstwo.

Podubny, pomimo swego wysokiego wzrostu, o głowę bowiem jest wyższy od Zbyszka, ratował się w walce z polskim siłaczem różnymi niedozwolonymi chwytami, tak iż jury musiała mu kilkakrotnie zwracać na to uwagę. Zaraz na samym początku walki uderzył Zbyszka kilka razy głową w twarz i w podbródek. Po piętnastominutowych zapasach zarządzono przerwę, podczas której przestrzeżono Podubnego, iż winien mocować się, a nie bić na pięści; mimo to wciągu dalszej walki Podubny chwytał się znowu tego samego środka, aż zniecierpliwiony Cyganiewicz oddał mu pięknem za nadobne. Od tej chwili ustało mocowanie, a rozpoczęła się prawdziwa bójka. Wspaniały widok przedstawiali na arenie obaj zapaśnicy, gdy rozwścieczony Podubny, wyglądający jak kolos żywego ciała, wyprężał swe stalowe muskuły, które gięły się na wyprężonych członkach Zbyszka. Po dwudziestu pięciu minutach walki Podubny tak sil-



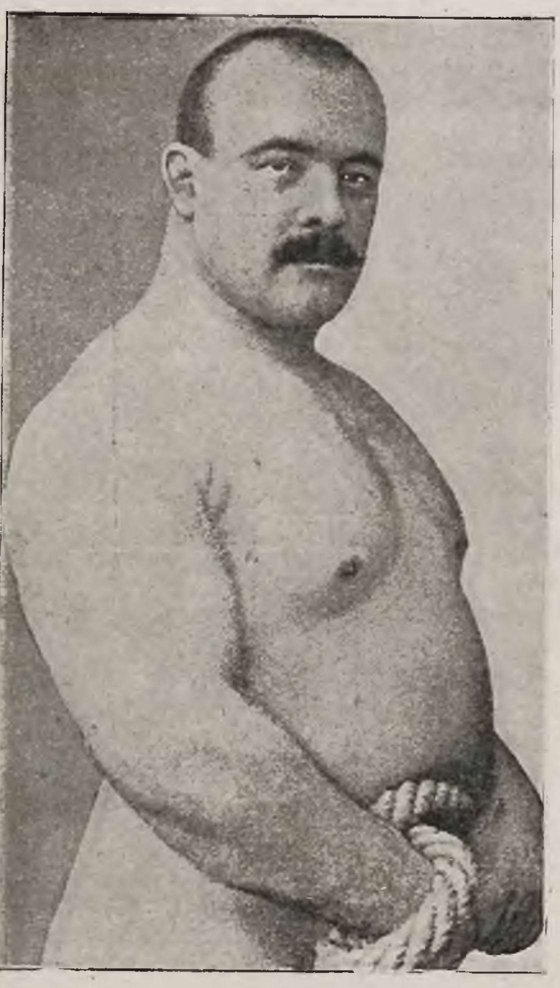
Laureaci Nobla: L. Renault.
(Do artykułu na str. 18).

nie uderzył Cyganiewicza, iż zagrożono mu wykluczeniem z walki; mimo to przeciwnik Zbyszka, tracąc wiarę w swą siłę wobec jego sprężystości, podstawił mu nogę, tak iż Cyganiewicz wyleciał po za dywan. Wtedy sąd ogłosił Cyganiewicza zwycięscą, a Podubnemu odebrał prawo dalszej walki. Na tem jednak nie skończyły się zapasy; Zbyszko, rozdrażniony zachowaniem się Podubnego, rzucił się na niego, obaj chwycili się w pół ztaką siłą, że aż kości zatrzeszczały i z pewnością krwawo zakończyłby się ten spór siłaczów, gdyby sędziowie nie byli wspólnemi siłami rozdzielili zapaśników. Podubny ustąpił z areny, na którą wstąpił Cyganiewicz, przywoływany niemilknącymi oklaskami. Obecnie ma walczyć Cyganiewicz z championem rosyjskim Hackenschmidtem o mistrzostwo świata całego.



Aparatem redakcyjnym W. Lis

Ognisko życia towarzyskiego w Krakowie: Grupa członków amatorskiego kółka dramatycznego, wraz z prezydyum Resursy urzędniczej. Prezes rejent Klemensiewicz (1); wiceprezes dyrektor Grodyński (2); sekretarz p. Sulimirski (3); zasłużony kurator kółka dramatycznego, st. inż. Winkler (4).

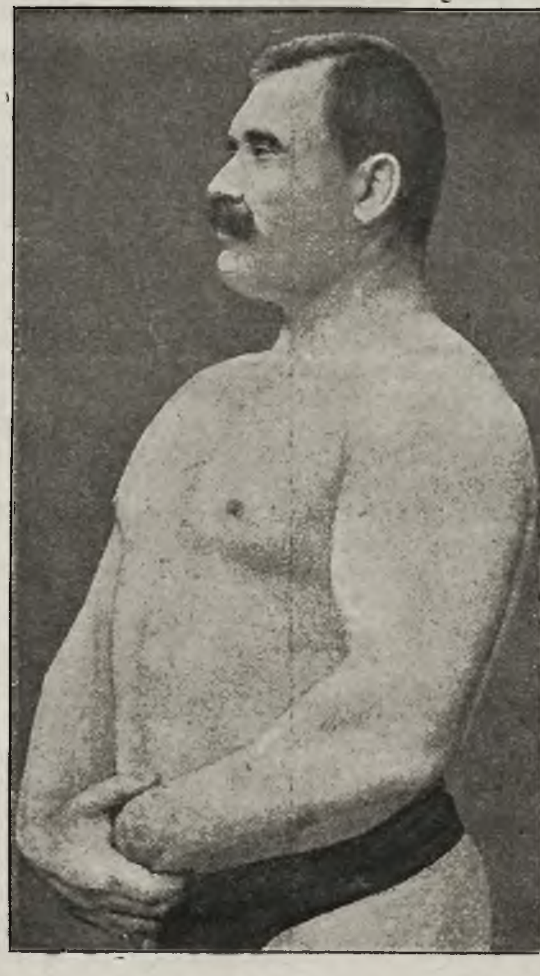


Zacięta walka atletów: Zbyszko Cyganiewicz.

Komu z tych dwóch światowych siłaczów los zwycięstwo przyniesie, trudno dziś przewidzieć. Interesującem byłoby to zresztą tylko w takim razie, gdyby była pewność, że walki, toczące się obecnie w Londynie, nie są humbugiem, jakiego świadkiem była nieraz publiczność krakowska i warszawska. Bo nawet takie zajścia, jak między Cyganiewiczem a Podubnym, nie dają tej pewności, gdyż w każdych prawie zapasach są one na porządku dziennym.

„Boże drzewka“.

Zapożyczony wprawdzie od Niemców, ale od wieków u nas zachowywany zwyczaj obdarowywania dziatwy w dzień wigilijny „bożem drzewkiem“, przystrojonem świecidełkami, cukierkami i makagigami, nadaje pewną szczególniej uroczystą cechę radosnemu świętu Bożego Narodzenia. To też nawet w domach ludzi niezamożnych, w dniu tym jaśnieje „boże drzewko“ mnóstwem różnobarwnych



Zacięta walka atletów: Przeciwnik Cyganiewicza, Podubn

świeczek, napełniając szczerą radością serduszka dziatwy a budząc wiele miłych wspomnień u pokolenia starszego.

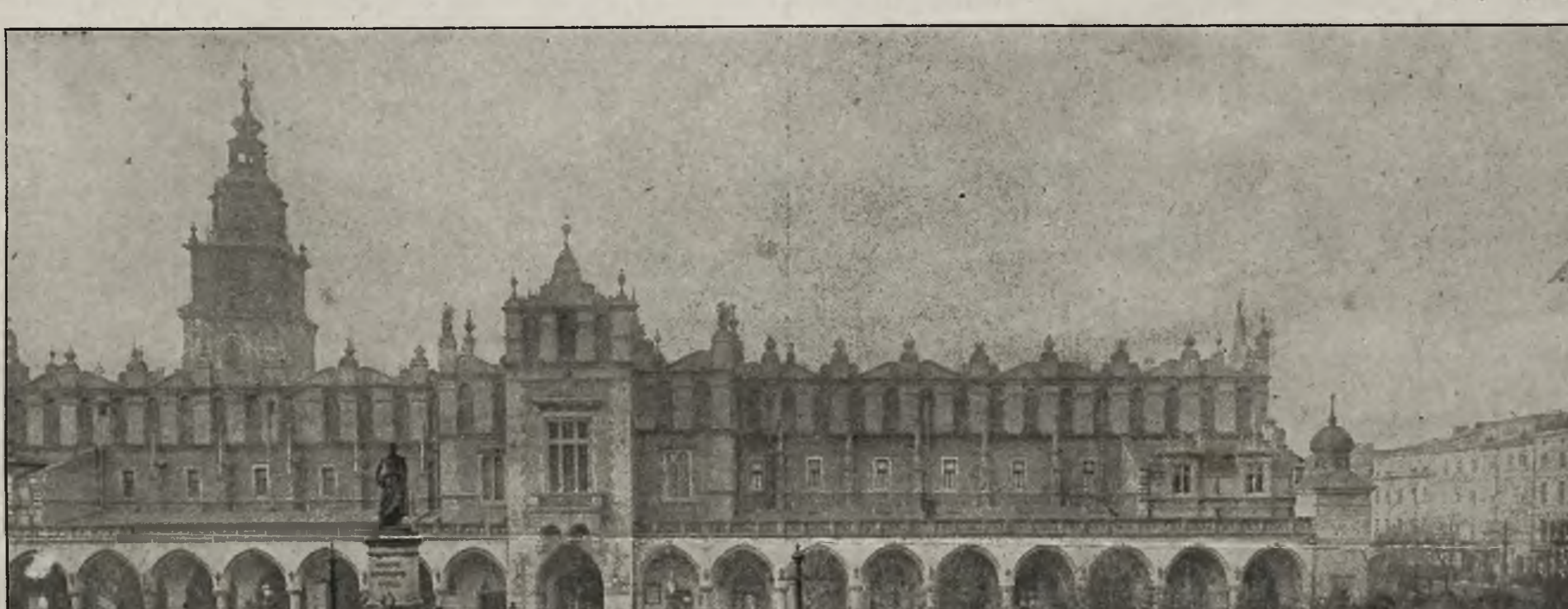
Starodawny ten zwyczaj wytworzył w Krakowie specyalną gałąź handlu choinkami, która rozpoczyna swą działalność na kilka tygodni przed świętami Bożego Narodzenia a kończy ją aż w dzień wilii. Centrum tego handlu stanowi część Rynku pod Sukiennicami na przestrzeni między ulicą Grodzką a Floryańską. W okresie tym zieleni się cała ta połać Rynku mnóstwem choinek najrozmaitszej wielkości, tworząc bardzo piękny i bardzo malowniczy widok, zwłaszcza gdy zima pokryje ziemię białym, puszystym śniegiem i da zieleni nagromadzonej prześliczne tło.

A choć każdego dnia dziesiątki i setki takich choinek rozchodzi się między publiczność, ubytku nie widać, bo miejsce sprzedanych, zajmuje zaraz nowy, świeży „towar“. Aż żal pomyśleć, że ta radosna, wesoła chwila świąt, powoduje zniszczenie tylu pięknych drzewek.

Widok choinek pod Sukiennicami przedstawia rycina, zamieszczona w dzisiejszym numerze.



Zacięta walka atletów: Training Cyganiewicza przed walką.



Aparatem redakcyjnym W. Lis.

»Boże drzewka«: Choinki, wystawione na sprzedaż pod Sukiennicami, na Rynku w Krakowie.



WIGILIA SAMOTNEJ KOBIETY

PRZEZ

GABRYELĘ ZAPOLSKĄ.

I.

— Więc paniutka do nas na wigilię nie raczy? Czy to możliwe?

Milczenie.

— Ale proszę, proszę się namyślić. Będziemy sami swoi, dzieci będą takie szczęśliwe. One tak paniutkę kochają...

— Naprawdę?

— Daję słowo.

Promienie słońca grają przez witraże jadalnej sali. Obie panie siedzą przy stole, na którym położono na prędce ładny, barwny obrusik. Dwa kieliszeczki, jak dwa tulipany, małe talerzyki, pod kloszykiem trochę sera, w ładnej terynce galareta z ryb — jakieś cukierki, słowem całe „drugie śniadanko", podane szybko, usłużnie, zwinnie komuś, kto się spieszy.

Ola odsunęła się trochę od stołu, tonąc jakby w fałdach swego miękkiego, białego szlafroka. Włosy związała niedbale w duży węzeł i tak siedziała garbiąc się trochę jak ta, której jest „wszystko jedno", co o niej powiedzą. Mimo to — mimo pewnego zrezygnowanego zaniedbania, była jeszcze ładną w rozkwicie swych lat jesiennych, z piętnem jakiegoś delikatnego wdzięku w smutnych, szafirowych oczach. Była tak zwaną „separatką" — po formie dla przyczyn, których ani ona, ani jej mąż określić teraz nie byli w stanie. Rozeszli się. Był mały skandalik w tym cichym mieszczańskim światku. I potem — wszystko ucichło. Ola mieszkała sama, na ustroniu, nie znając prawie nikogo. Lecz mimo jej woli ściągać zaczęły ku niej jakieś istoty, mające zapobiegliwość w oczach. — Ola patrzyła na nie jakby przez mgłę. Tylko dziś, w ten dzień wigilijny, w który nagle została sama, starała się rozproszyć tę mgłę. Siedząca naprzeciw niej kobieta, owinięta dostatnim szalem i ubrana z pewną zamożnością, mówiła słodko i miło. Starała się przynajmniej. Ola wsłuchiwała się w ten głos, czy nie znajdzie jakiegoś dźwięku, który ją poruszy. Była to właścicielka kamienicy, w której Ola mieszkała. Miała istotnie miłe dzieci. Ola usiłowała wmówić w siebie, że są nawet bardzo miłe. I prawie już zdecydowała się zejść tam na dół o porze uświęconej i usiąść przy ich stole.

— Byle nie sama! byle nie sama... dźwięczało jej w uszach jak litanią — zresztą... kto wie... może oni mnie naprawdę lubią.

Pani w szalu wstaje, zbiera fałdy, zbiera się cała — dyga — a zwłaszcza rzuca oczami dokoła. Ładne meble, ani słowa. W salonie zwłaszcza cenne jakieś starożytności, parawany, biurka. — Wszystko to musi być dużo warte.

— A więc... przyjdę! — mówi Ola, stojąc oparta o stół.

Pani w szalu bardzo rozpromieniona, dziękuje.

— Jacy radzi, jacy radzi będziemy... — powtarza zmierzając ku wyjściu — bardzo, bardzo. Pani jest nasze oczko w głowie. Bo...

Przystanęła. Zbiera szal, zbiera siebie.

— Bo ludzie mówią... a pilnujcie pani Oli, a dogadzajcie jej... kto wie, czy o dzieciach waszych nie pomyśli.

Powiedziała, uśmiechnęła się i wyszła.

Zdawało się jej, że powiedziała coś bardzo ciepłego.

A od tego „ciepełka" aż po Oli mróz przeszedł.

Zapisze?...

Zapisuje się przed śmiercią.

Więc ona tam za tym stołem będzie siedzieć trupem. Będzie miała tylko wartość trupa, który zapisał...

Nie.

Nie pójdzie tam!

* * *

W tej chwili wchodzi kucharka, troszkę z fryzurą na bakier.

— Więc jakże wielmożna pani? czy co się robi, czy będzie kto... już wszędzie zaczeni, u nas jeno nie.

Przez umysł Oli przechodzi rozpaczliwy wysiłek. Kogo zaprosić? Ci, których zna, mają swoich, lub są tacy, z którymi się niechętnie zasiądzie przy stole wigilijnym. Niema nikogo. Ani z kim zasiąść ani gdzie pójść. Sługa stoi przed nią pokornie zuchwała i świdruje ją wzrokiem. Ola czuje, że sługi jej nie lubią i pogardzają „bez to, że z mężem nie siedzi". — Ale nie chce, aby z niej szydziły.

— Nie. Ja idę do znajomych! — mówi i sili się na obojętność — wy chciałyście obie iść do matki. Dostaniecie po piątce, wina i pójdę kupię wam bakalii... Tak.

Sądzi, że hojnością swoją przebłaga sługę. Lecz ta nic nie odpowiada. Wychodzi do kuchni i Ola mimowoli ze ściśniętem sercem słyszy, jak coś mruczy ze siostrą, która jest za pokojową.

II.

Ola ubiera się w kapelusz i futro.

I ona pójdzie po „zakupy".

Mimowoli myśli — rok temu.

W tem samem mieście, które było jakieś cieplejsze, przytulniejsze — biegała już od dwóch dni, wydając z rozkoszą pieniądze, zwłócząc cukierki, jabłka, ryby — aniołki, pantofelki, zegarki z karmelu na drzewko.

Bo Ola stroiła co rok drzewko dla siebie.

Zdawało się jej widocznie, że to dla siebie, bo gdy została sama ze sobą, nie stroi już drzewka...

Rozlega się dzwonek.

Wsuwa się ktoś, jakaś pani. Druga, grzeczna, miła, sympatyczna. Jest młoda i ładna. Sąsiadka. Owinięta także w pled. Ubrana mniej dostatnio. Ma oczy szafirowe jak dwie gwiazdy. Żona kupca z dołu. Kupca żelaza.

Ola kilkakrotnie przystawała na schodach ujęta jej wdziękiem i wdziękiem jej dzieci. Szczególniej Rysia, mała dziewczynka dwuletnia, która dzień cały zajęta jest udawaniem, iż czyta książki lub gazety. Jest tak błękitnooka i promienna jak jej mama. Samotną Olę szarpnęło coś z[illegible]ce. Taka odrobina w białym kapturku. [illegible] jakiś stosunek przyjazny zawiązał się [illegible] tą samotną kobietą i młodą matką. Ol[illegible] posłała dzieciom całe pudło zabawek. [illegible] znajdowała naturalne, że matka przy[illegible] podziękować jej za tą grzeczność.

I w rzeczy samej młoda kobieta dziękuje.

— Dzieci takie szczęśliwe... — mówi — uspokoić ich nie mogę.

— Myślałam, że pani zabawki im da według zwyczaju o gwiazdce...

— Ach! nie! za małe, aby się stosowały do zwyczaju. A potem myślałam, że w ten sposób zapewnię sobie spokój na wigilię. Tyle mam do roboty.

— Dużo będzie osób?

— Sami swoi... ale...

Zawahała się. Patrzy z pod długich, ślicznych rzęs.

Widocznie chce jeszcze coś powiedzieć...

— Ale... tylko nie śmiem powiedzieć...

— Proszę, proszę... niech pani mówi.

— Gdyby... gdyby... tak pani zechciała do nas. To obok, nie będzie kłopotu z powrotem.. bo to zawsze trudno o te dorożki. A potem można w szlafroczku... Tak... Proszę... my wszyscy bardzo prosimy...

Chwileczkę urywa. Topi swe cudne szafiry w smutnych źrenicach Oli.

— Rysia także prosi.

Mimowoli Ola czuje się wzruszona. Tak. Dlaczego zapomniała o tych ludziach? Gdy była bardzo chora — młoda kobieta odwiedzała ją przyjaźnie, przynosiła jej kwiaty, swoje dzieci. Tu, w tej ślicznej jasnej sypialni siadywała przy jej złoconem łóżku, trzymając ją za rękę, bardzo słodka i miła. Gdy Ola bardzo cierpiała, ona miała łzy prawdziwe w szafirowych oczach. Co więcej, gdy raz Ola w zdenerwowaniu chorobliwem rzuciła — „zapiszę Rysi co mam" — ta młoda kobieta porwała się cała różowa.

— Co pani mówi!... co pani mówi!... Niech pani nam jak najdłużej żyje... Rysia nic od pani niechce.

I głos jej drżał łzami. Oburzona była. Ola ją przepraszała długo, zanim się tamta uspokoić mogła.

Tak. Ola widzi teraz jasno tę scenę. I z jakiemś uczuciem wielkiej ulgi zwraca się ku stojącej przed nią kobiecie.

— Dobrze... przyjdę do was... tak... do was przyjdę!

Tamta aż ku rękom Oli się schyliła, taka bardzo wdzięczna.

— A toż będzie święto! a toż będzie święto! woła radośnie owijając się w swój szal. — A lubi pani rybę po żydowsku? Ciocia moja przyrządziła... no... po królewsku...

— Lubię, lubię!... powtarza rozweselona Ola.

Idą razem przez mały salonik Oli, w którym ta czasem pracuje, pisze, czyta. Nagle kupcowa żelaza wpada w ekstazę na widok świeżo oprawnych książek Oli i nowej mahoniowej, ozdobionej bronzami biblioteki.

— Och jakie ładne!...— mówi z nabożeństwem niemal analfabetki przed grzbietami wyzłoconymi, na których widnieją nazwiska tych, którym ludzie miano geniuszów przypięli.

— Śliczne... — powtarza. Czy to nowe?

— Nie, to nadeszły... ktoś mi je odesłał. Tylko oprawa nowa.

— A!... śliczna... cudna.

I nagle, jakby szpicrutą podcięta, wyrzuca szybko i z jakiemś tryumfalnem zacięciem:

— „A mówiłam, aby pani tylko Rysi i książki zapisała, bo przecież pani musi mieć ładne!"

Wychodzi słoneczna, promienna — ciepła.

A od tego „ciepełka" aż mróz przebiega po duszy Oli.

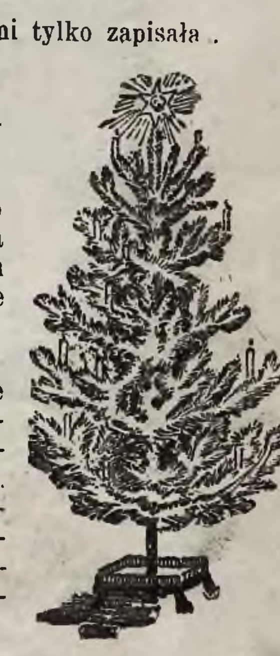
— A mówiłam... aby pani tylko zapisała .

Znaczy się, że była to cała dysertacya, częsta nad tem, co ta umierająca zapisać może.

— [illegible]by tylko...

Aby [illegible]e zapomniała o tych [illegible]ach, o tych dla [illegible]ys[illegible] [illegible]dzy wszystkiem [illegible] co mieli właśnie [illegible]

[illegible] słodka, miła kobie[illegible] [illegible]a tak szlachetnie [illegible] się na jej chorowe majaczenie o uczynieniu zapisu na korzyść Rysi. Ola ją widzi siedzącą za stołem w świetle lampy, karmiącą żarłoczną Rysię kaszką z mlekiem i równocześnie mówiącą:



— Żeby tylko zapisała Rysi książki...

Ola aż wyprostowała się i biała zupełnie przeszła do swego pokoju.

Coś strasznego, jakby dwoje kruków zakrakało dokoła niej już dziś dwukrotnie.

I tam nie pójdzie.

Więc gdzie?

Nie wie. Ale febrycznie wiąże woalkę dokoła wielkiego aksamitnego kapelusza.

— Pójdę kupić sługom łakoci. Może choć im tem przyjemność sprawię.



III.

Wyszła na Rynek.

Doznała olśnienia i zarazem ściśnięcia chorobliwego serca. Jakby rok cały wszystko zasnęło i zbudziło się nagle w ten dzień wigilijny. Te stragany barwne, wiewające purpurą, fioletem pasów — zielenią liści, świeżą barwą bibułanych róż. Tem sam las choinek, jakby karli bór na tle Sukiennic.

Ścieżki pomiędzy drzewkami wydeptane, a po nich snują się ciemno odziane postacie. Hejnał przeleciał ptakiem srebrnym. Skonał w oddali.

— Szopeczka krakowska!...—woła jakiś dzieciak na rogu trotuaru.

— Nawet kupowałam szopki! — myśli Ola. Jestem taka sama dziś, taka sama...

Skręciła szybko w boczną wrzaskliwą ulicę. Wpadła z tłumem do znanej owocarni. W ciemnicy wirowały całe grupy ludzi zziębniętych koło stągwi ledwo dyszących ryb. Inni pochylali się nad jabłkami, zdejmowali sami z półek pudła fig, kasztanów osmażanych, daktyli. Jakiś pan w kącie przy stosie paczek, do których zlany potem subjekt dorzucał coraz nowe torebki — zajadał pospiesznie wędzonego śledzia, pił piwo i pogryzał bułkę. Na ziemi, z pudełek, z których wysypywały się barwnie pocięte bibułki, pochylone kobiety dostatnio ubrane, wybierały na tacki tekturowe cacka choinkowe, strojne i kosztowne. Gwar, krzyk, dostatek, wesołość i podniecenie przedświąteczne aż wybuchały kłębami nazewnątrz.

Ola z trudem przecisnęła się do lady. Lecz właściciel sklepu powitał ją skwapliwie. Była stałą i dobrą klijentką. Natychmiast kazał jej usłużyć. Jakaś panienka we włóczkowych mitynkach zaczęła wybierać i odkładać to, co Ola kazała. W pierwszej chwili oszołomiona gwarem nie mogła przyjść do siebie. Wreszcie oprzytomniała i gdy dziewczyna zawijała paczki i ona na chwilę uczuła się rada, że bierze jakiś udział w tej ogólnej radości.

Nagle z pod jej boku dał się słyszeć głos nieśmiały:

— Proszę za dziesięć centów cukierków na choinkę, dwa jabłka, jakie dwa pierniki i ze cztery świeczki!

Głos był cichy, stłumiony. Oddech nawet ciężki i chrapliwy. Ot, jak mówią ci, którzy pracują dużo i dawno.

Ola odwróciła się i stało się tak, że spojrzała niemal w oczy mówiącemu człowiekowi.

Oczy te były jakby szklane — martwe. Cała twarz chuda, zarost niepewnej barwy. Lata nieokreślone i duma w tych oczach, w tej twarzy jakby cofnięta, ukryta. Dalej postać zgarbiona, owinięta w zniszczone palto.

— Proszę za dziesięć centów cukierków, dwa jabłka...

Lecz nikt go nie słucha. Żądają kilami, kopami. Kto ma czas zajmować się tym cichym człowiekiem i jego nieśmiałem żądaniem? Wyciąga wciąż rękę z kilkoma centami i jeszcze coś cicho powtarza. Wreszcie milknie i tylko smutnemi oczami wodzi za krzątającą się gwardyą subjektów.

W sercu Oli nagle budzi się cały obraz. Ten nędzny dom biednego człowieka! Zbudował go, zlepił sam. I tam są jakieś małe, także biedniuchne istoty. Dla nich to odłożył te parę centów, za które ma być — dwa jabłka, cztery świeczki...

— Tak mało im może przynieść, a pewnie z duszy chciałby jaknajwięcej.

I szybko jak błyskawica porywa Ola z portmonetki pięcioreńskowy papierek i kładzie go na kontuarze, a chwytając rękę nieśmiałego człowieka, przyciska ją na pieniądzach.

— Dla dzieci... na cukierki!

Zanim on zrozumieć zdołał—wybiegła ze sklepu, rzuciwszy na progu cichy rozkaz, aby jej do mieszkania odesłano zakupy.

Biegnie pod domami lękając się, aby obdarzony przez nią człowiek nie pobiegł, nie chciał dziękować.

— Ach nie! za co!... za co! — myśli wzruszona dziwnie i miło.

. . . .

Wybiegła znów na Rynek. Tak, myśli — ile dziś dzieci z zajęciem czeka choinki. To banalne co postanowiłam, ale w tem będzie jakieś źródło ukojenia. Rzuca się pomiędzy drzewka i kupuje kilka. Daje adres; potem wpada pomiędzy stragany, gdzie drgają świeże barwy, mienią się złocone orzechy, wiewają tęcze papierowych łańcuszków.

Kupuje, kupuje febrycznie — stosy rycerzy w pancerzach na polukrowanych koniach, fantastyczne anioły z trąbami, krakowianki w gorsetach ze złoconego maczku, rogi obfitości pełne róż, zaprzężone w gołębie, budki, w których na poduszkach siedzą cukrowe pudle, siatki z gazy pełne ryb — słowem cały wysiłek imaginacyi bardzo prostej a przecież skomplikowanej. Ola sypie do toreb poszytych z gazet, które podają jej przekupki. I pierników całe stosy — okrągłych brukowców, przekładanych, krajanych w kształt dziwacznych niemowląt o twarzyczkach z papieru. Dwóch posłańców przyjmuje ciągle paki, chodząc w ślad za Olą, która teraz robi cały zapas świeczek kolorowych, przejrzystych o ślicznych wesołych barwach.

— Jeszcze lichtarzyki...—myśli cała pochłonięta myślą owych drzewek — tak lichtarzyki. Tylko kupię wbijane ze sztyftem, nie takie z agrafką jak przeszłego roku. Niechciały się trzymać. Mąż ciągle poprawiał...

Coś przewiało przed jej oczami nagle jakby mgła.

Mąż.

Poruszyła niecierpliwie głową. Śmieszne. Zapomniała dawno. I on zapewne także. Zresztą...

Biegnie do domu. Jakby ją coś gnało. Lecz ból ma jakiś w sercu. I zdaje się jej, że biegnie upić się czemś bardzo silnem i bardzo gorzkiem. Gdy weszła do salonu, owiała ją rozkoszna woń przyniesionych już choinek. I jakby skurcz porwał ją za gardło. Ale dobyła całej siły pod wzrokiem zdziwionej pokojówki.

— Wielmożna pani będzie też i tego roku ubierać drzewko?

Ola zdejmuje szybko kapelusz i myśli, że ta dziewczyna odczuwała także, iż Ola w ubiegłym roku ubierała drzewko nie dla siebie. Teraz jest pustka w tych pokojach — pustka koło niej — więc po co? Lecz już Ola zaczyna pakiety otwierać...

— Tu muszą być w domu w suterynach biedne dzieci — mówi gorączkowo — ubiorę kilka choinek, zaniesiesz im na gwiazdkę...

Dziewczyna lekko ramionami wzrusza.

— Pewnie że są, a gdzieżby tego nie było. — Dwie rodziny takie pełne dzieci, a tu naprzeciwko też jest szewc strasznie biedny...

— Doskonale... ja ubiorę, ty im zaniesiesz.

Dziewczyna głową kręci i patrzy na Olę z pod oka.

— Tyle pieniędzy wydać na obcych dzieciaków! — myśli — ona nie musi mieć dobrze w głowie.

Tego nie może zrozumieć, że Ola chce się... upić. Upić dobrymi uczynkami.

Bo i to jest pijaństwo.

W swoim rodzaju.



— — — — — — —

Ciemno już i ruch na ulicy ustaje coraz więcej. Jakby tam coś wygasało, coś kryło się do swych jam, do swych nor.

Gdzie ciepło, dobrze, swojsko...

W salonie Oli stoją trzy strojne choinki. Jak bukiety zasiane barwami cacek i osnute złotem i srebrem włosów anielskich.

Ona sama zaróżowiona, zmęczona, powstaje wreszcie z klęczek i dzwoni na sługi.

— Zanieście to do suteryn — postawcie pod drzwiami, zapalcie kilka świeczek — zapukajcie i... natychmiast uciekajcie!

Sługi biorą każda jedno drzewko i idą chichocząc się.

Ola mieszka na parterze. Do schodów, prowadzących do suteryn, bardzo blisko. Nikogo niema w sieni. Sługi idą wolno a cacka na choinkach dzwonią leciuchno. Po drzewkach pozostaje czarowna woń leśna. Ola stoi w sieni i nadsłuchuje. Potem zbliża się do otworu schodów, pochyla się. Sługi rozeszły się na dwie strony korytarza. Stawiają drzewka.

Słychać w ciemności szum gałęzi. Oli bije serce. Doznaje dziwnie miłego uczucia. Teraz słyszy trzask zapałek. I oto zaświeciły się świeczki. Małe tajemnicze światełka. Tu i ówdzie błyszczy jakaś kulka szklana, jakaś gwiazdka ognista.

Teraz sługi pukają leciuchno.

I uciekają.

Ola cofa się.

Lecz za chwilę słychać łoskot otwieranych drzwi i nagły krzyk.

Krzyk dzieci...

Ola biegnie do mieszkania i zamyka się w pokoju.

Służąca pyta przez drzwi:

— Zanieść to trzecie drzewko do szewca?

— Tak! tak!...

I Ola ukryła twarz w dłonie.

Och! jak ją serce bardzo boli.

IV.

— Wielmożna pani którą suknię włoży?

— Ja?...

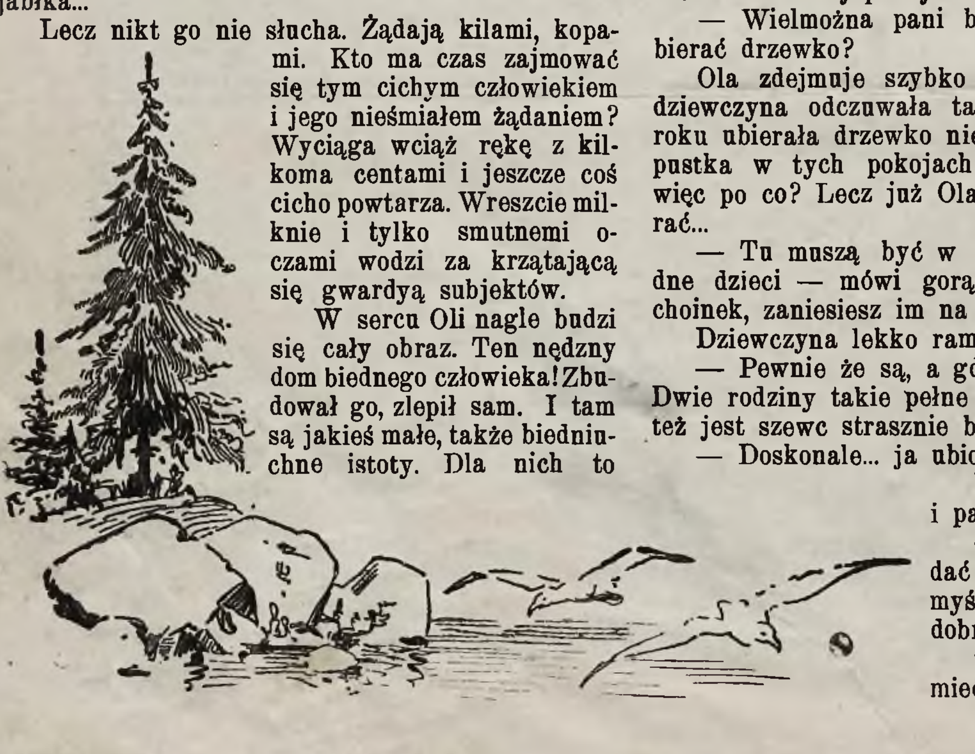
— No tak. Na wigilię do znajomych.

— A!... nie wiem. Szarą...

Pokojówka zapala świece przy lustrze — przygotowuje ubranie, buciki, płaszcz. Krząta się żwawo. Znać, że chce wyprawić panią z domu, aby iść samej do rodziny. Ola czuje, że musi być konsekwentną, że raz powiedziawszy, iż idzie do znajomych, iść musi gdziekolwiek — byle wyjść z domu. Siada przed lustrem i czesze się, pudruje, wreszcie ubiera strojnie jak manekin. Patrzy się na pobladłą swą twarz, na oczy, które zdają się jej być cofnięte w głąb.

— Jaka smutna ta — tam... — myśli.

W lustrze odbija się poza nią twarz sługi, odzianej odświętnie w jakąś jasną bluzkę, z kokar-



dą różową w jasnych, trochę ufryzowanych włosach. I taki tryumf młodej radości mają oczy tej dziewczyny, jakby ktoś w niej zapalił lampę podsyconą zdwojoną siłą życia. I tak się spieszy ta dziewczyna, tak bardzo spieszy do swoich, tylko do swoich.

Już Ola ubrana elegancko, mile — jednobarwnie.

Szara fałdzista suknia. Srebro dyskretne przy staniku. Pokojówka podaje Oli ładną, świeżą żółtą różę.

— Wielmożna pani przypnie...

Ola bierze machinalnie kwiat.

— Tak...

Włożyła płaszcz. Kucharka za drzwiami sypialni szpieguje, kiedy pani wreszcie z domu wyjdzie.

— Pójdę piechotą. Nie zamówiłam dorożki. Teraz będzie trudno.

— Śnieg sypie. Ja wielmożną panią odprowadzę... — proponuje miękko pokojowa.

— Nie! nie!... a wróćcie kiedy chcecie. Macie klucz. Ja mam swój. Pewnie późno wrócę...

Ola to mówi białym, dziwnym głosem. Jakby nie swoim. Wychodzi wreszcie z mieszkania. Już jest na ulicy. Skręca zaraz na rogu i iść zaczyna przed siebie. Sama nie wie, gdzie i dokąd. Ale iść musi. Śnieg rzeczywiście sypie wielkimi płatami. Ola nie wzięła parasola. Zresztą jej wszystko jedno. Idzie w biel i ciszę.

* * *

Bo dziwna jest biel. I dziwna jest cisza. Jakby zadzwonił ktoś na wielkie święto i jakby ten dźwięk krystalicznych dzwonów zawisł nieruchomo w powietrzu. Śnieg nie wiruje wichrem. Leci prosto, puszysto, miękko. Nie ze skrzydeł Cherubinów lecz raczej z ich rąk, jakby na ziemię w grób.

Okna domów żółcą się światłem poza tą białą zasłoną lecącego śniegu.

Jak bardzo dziś zamknięte są te okna, jak bardzo zamknięte drzwi ludzkich mieszkań. Wpuszczono tylko tego, kto wejść miał prawo i oto zapadły wrzeciądze ludzkich domostw i ludzkich serc...

Jesteśmy razem ci, którzy być razem mamy prawo.



Wy wszyscy, którzy błądzicie koło naszych wnętrz, odejdźcie. My tylko, my sami!

Ola jest ta, która błądzi w tej chwili koło ludzkich wnętrz.

Naokół pustka zupełna. Ulica biała i cicha.

Wszyscy weszli d o s i e b i e.

I zamknęli drzwi.

Jakaś rozpacz nią chwyta. Jakże chciałaby stanąć pod którem z tych okien i choć zajrzeć do środka.

W czarnem swem długiem futrze idzie szybko. Jakby ją kto gnał. Ociera się o mury kamienic.

— Gdzie idziesz? gdzie?—pyta się samej siebie.

Idzie ciągle.

Nagle na rogu ulicy dostrzega jakąś istotę.

— Ach! jest jeszcze ktoś oprócz mnie... kto błądzi, kto niema gdzie wejść...

Jakby do nagle dojrzanego ogniska zbliża się Ola.

Na tle muru — drobna, zwinięta postać kobieca klęczy.

Czarną chustkę osypał śnieg. Nieruchoma. — Przed nią, przed tą milczącą i jakby zastygłą postacią na rozesłanej na śniegu szmacie—troszkę drobnych jabłek. A na tę nędzę całą, cichą, zrezygnowaną, bezmierną, lecą wciąż zimne płaty śniegowe — bezlitosne, straszne.

Ola zatrzymuje się. Patrzy.



Och, jakiż to smutek! Jakimże bolesnym hymnem bije na trwogę.

— Co tu robicie? — pyta Ola — co tu robicie w ten śnieg...

Z garstki łachmanów i śniegu — cichy, złamany głos:

— Może kto kupi jeszcze jabłka.

— Ależ pusto dokoła. Widzicie.

Kobieta milczy.

— Macie dzieci?

— Są!

— Czekają na was w domu?

— Tak!

Ola sięga do woreczka. Napotyka jakiś banknot. Szybko podaje klęczącej kobiecie.

— Weźcie jabłka, weźcie to... idźcie do domu!

— Och!...

Ola odwraca się i zaczyna uciekać. Goni ją śnieg, gonią ją łzy. Do swego domu przypadła. Sługi już musiały wyjść. Chce się ukryć jakby w jamie. Ukryć gdzieś, niewidzieć nic... Patrzy trwożnie w okna swego mieszkania. Ciemno. Wyszły pewnie sługi. Cicho przekrada się koło drzwi właściciela kamienicy, sąsiadki o błękitnych oczach. Jakby popełniła zbrodnię, że jest sama, że w tej chwili niema nikogo.

Wreszcie dopadła do swego mieszkania. Otworzyła drzwi. Ciemnica ogarnęła ją. Zatrzasnęła zamek. Jakby grób ogarnął jej duszę. Z poza ściany niewprawne ręce grają na fortepianie kolędę. Weszła do salonu. Zapaliła świece. Martwe sprzęty przywitały ją. Wyniesione choinki pozostawiły woń po sobie. Usiadła w swym płaszczu, który ogarnął ją ogromną falą czarnego aksamitu. Chciała zanurzyć się w rozkosz wypełnionych dobrych czynów.

— Choinki posłane do suteryn, ten człowiek w sklepie — teraz ta kobieta...

Nie, nie. To wszystko jest niczem w tej chwili. Nie ogrzewa jej, nie tuli. To wszystko są piękne giesta, które na razie dają jej złudzenie rozkosznego wzruszenia.

Lecz oto giesta minęły.

A ona pozostała... sama! —

* * *

— Dlaczego się z nim rozstałam? — myśli.— Dlaczego? Gdzie on dziś być może? Z kim łamie się opłatkiem? Za czyim stołem usiadł? Wszak nie przed nim drzwi jej domu stać dziś winny zamknięte.

Drzwi jej domu!

Ogarnęła wzrokiem w n ę t r z e swego mieszkania.

To co dawniej wydawało się jej przytulne i ciche — teraz jest martwe i zimne.

— Och! stworzę sobie życie... wystarczę sobie sama... mówiła w chwili separacyi.

Gdzież jest to życie?

Na biureczku leżą opłatki. Przyniósł je dziadek kościelny, a pokojowa położyła je na biurku.

— Bo może wielmożna pani będzie pisać listy do swoich... — mówiła tłómacząc się z faktu.

Listy do swoich!

Nie pisała Ola, bo ich nie miała.

A teraz ten opłatek...

Aż gorące, wielkie łzy wypełniają oczy Oli.

Ten opłatek...

— Podzielić się z kimś swoim, przełamać...

Wstaje, zbliża się do biurka.

Wyciąga rękę — prawie bezwiednie.

I łamie opłatek.

A potem do ust niesie z gorącem łez.

I drugą połowę w kopertę kładzie.

Bez słowa, bez znaku.

Tylko sam opłatek.

Pochylona na kopercie, pisze adres przypuszczalny swego męża.

I przykleiwszy markę, szybko z domu znów w biel i śnieg wychodzi.

* * *

Rzuciła list w skrzynkę pocztową i jakoś jej lżej, cieplej na sercu.

Powraca do swego kąta, nie kryjąc się jakby niosła ciężar zbrodni.

Łzy jej z oczów jeszcze płyną, ale wdzięczna im jest za to, że idą jej z serca.

Bo i ona dziś podzieliła się opłatkiem w ten wieczór wigilijny.

* * *

W ten wieczór wigilijny, gdy nie ze skrzydeł Cherubinów, lecz z rąk ich, jakby strzępy chryzantemów śnieżne płatki lecą.

I z jej dłoni taki biały strzęp uleciał w dal.

A był to prawdziwy chleb anielski.

Chleb przełamany...

Chleb zgody i przebaczenia. —

Lew i kogut.

Gdy nastała wieczór cisza,
Portugalskie zaszło słonko,
Wyszedł sobie na przechadzkę,
Lew, król zwierząt z swą małżonką.

A lwiej parze towarzyszył
Chór pochwalny zwierząt tłuszczy,
Wszystko biło im pokłony,
Co jest w lesie, kniei, puszczy!

I lizali jego ślady
Zausznicy i pochlebce,
Choć wiedzieli, że lew w kniei
Krew poddanych swoich chlepce!

Król ogonem tłuszczę wita,
Giestem władcom odpowiednim,
A gdzie zwrócił krwawe ślepie,
Uciekało wszystko przed nim!

A królowa zwierząt znowu,
Wsparta na małżonka łapie,
Gdy do ludu się uśmiecha,
Zębiskami groźnie kłapie!

Wtem lew nagle ryknął z trwogą,
Ogon zwija, uszy stula
I umyka, co sił tylko
Wbrew powadze zwierząt króla.

Cóż się stało? Ot niepomny
Na blask berła i korony,
Zapiał kogut — proletaryusz,
Co miał na łbie czub czerwony!

Bo ze względu na swe nerwy,
Pilnie się królowie strzegą,
Zbyt głośnego piania ludu
I koloru czerwonego.

Kruk



Brama Floryańska od strony ulicy Floryańskiej w Krakowie.

Rondel i brama Floryańska.

Początki dziejów prastarej stolicy Polski, siedziby królów naszych Bolesławów Chrobrych i Kazimierzów Wielkich, otoczone są jeszcze dotąd gęstą mgłą wieków. Z trudem wielkim, pracą pełną poświęcenia i umiłowania przeszłości narodowej, odsłaniają zwolna uczeni badacze, tajemnice pierwszych dni Krakowa, zastępując wynikami swych skrzętnych poszukiwań legendy i mity. I wiadomo dziś bodaj tyle, iż początków Krakowa szukać należy na skalistym Wawelu, gdzie w VI prawdopodobnie wieku po Chrystusie, książe Wiślan, Krak, wybudował warowny zamek. Wokoło tego zamku utworzyła się osada i z niej potem z biegiem wieków, wyrosło potężne miasto.

Nie było ono z początku fortecą. Dopiero powtarzające się w XIII w. napady Tatarów, skłoniły mieszkańców do obmurowania miasta, do otoczenia go murami i wałami. Ciasne były te pierwsze mury, to też z biegiem lat przesuwano je dalej, wzmacniając równocześnie i wznosząc w około nich wieże i baszty.

Służyły one do obrony murów, a były dość gęsto pobudowane, gdyż liczba ich razem z bramami wynosiła 50. Każda miała kształt odmienny a tylko kilka było do siebie wyglądem zbliżonych. Do obrony każdej baszty był przeznaczony inny cech rękodzielniczy, który posiadał w tym celu pewną ilość broni i amunicyi.

Z początkiem XIX w. wszystkie owe baszty, wieże i bramy zburzono, a z całego obwarowania miasta Krakowa, pozostały tylko cztery baszty północne, wraz z murem, który je łączył, przylegający do nich tz. barbakan czyli rondel oraz brama, znana powszechnie pod nazwą Floryańskiej.

Cała ta część dawnych fortyfikacyi krakowskich należy do wielkich osobliwości, szczególniej zaś rondel. Bo zbudowany jeszcze w 1498 r., pomimo wielu napadów i ataków nieprzyjacielskich, utrzymał się w swej pierwotnej postaci, bez zatracenia stylu gotyckiego. Drugi taki barbakan znajduje się w Hiszpanii, zresztą zaś nigdzie podobnego barbakanu niema w całym świecie.

Przed laty łączył się ten rondel dwoma murami bezpośrednio z bramą Floryańską; otoczony był fosą, zalaną wodą, przez którą wiódł doń most zwodzony. Okrągłą, zgrabną budowlę zdobi siedm wieżyczek ostrołukowych. Wewnątrz, na wysokości piętra, biegnie galerya, z której był dostęp do strzelnic w murach. Dolne otwory służyły za wyloty dla armat.

Po zniesieniu obwarowań miejskich, wjazd do miasta odbywał się przez rondel i bramę Floryańską. Obecnie wiodą ulice naokoło a rondel stoi otworem tylko w czasie uroczystego wjazdu lub pochodu. Wewnątrz mieszczą się okruchy dawnych budowli miejskich. Od wschodniej strony rondla wmurowana w zewnętrznym murze tablica, przy-



Zmiana w berlińskiej ambasadzie Stanów Zjednoczonych: Ambasador amerykański, Dawid Jayne Hill.

pomina nazwisko dzielnego mieszczanina krakowskiego Oracewicza, który w czasie konfederacyi, Barskiej broniąc miasta przed wojskami rosyjskiemi, z okna na pierwszem piętrze celnym strzałem ze strzelby, nabitej w braku kuli guzikiem, położył trupem dowódcę ich, jenerała Panina i przez to powstrzymał pierwszy atak na Kraków.

Rzadkim zabytkiem dawnych fortyfikacyi krakowskich jest też brama Floryańska, położona tuż



Rondel, czyli barbakan, od strony bramy Floryańskiej.

obok rondla. Zbudowana również w stylu gotyckim, styl ten po dziś dzień zachowała, stanowiąc niezwykłą a piękną ozdobę miasta.

Wewnątrz bramy umieszczony jest ołtarz z obrazem Matki Boskiej, strzeżony przez ubogiego



Fragment ze zbrojowni w Muzeum ks. Czartoryskich.

z Tow. Dobroczynności. Nad bramą, od strony Kleparza, tkwi wysoko w murze z kamienia wykuty orzeł polski Piastowski, w ostatnich czasach wmurowany tu na miejsce innego, osadzonego w XVIII wieku. Od ulicy Floryańskiej zaś umieszczono wysoko w murze, w płaskorzeźbie wyobrażonego św. Floryana. Pod nim prowadzą z ganku drzwi do kaplicy, wyrestaurowanej kosztem ks. Władysława Czartoryskiego.

Drogocenne te pamiątki z przeszłości Krakowa, dziś otoczone są pieczołowitą opieką. A zachowały się dla potomności cudem niemal. Bo w czasie zapamiętałego niszczenia wszelkich zabytków z początkiem XIX w. zagrażał i im ten los, który spotkał inne wieże i bramy.

W r. 1840 odnowiono rondel i bramę Floryańską pod kierunkiem architekta Karola Kremera. Wówczas też dobudowano od strony miasta portal, dźwigający galeryę z balustradą ciosową, oraz od zachodu domek z podcieniem na 5 arkadach, a od wschodu bramkę o jednej arkadzie. Naokoło zaś rondla odkopano ziemię przez co uwidocznił się stylowy cokół.

Nowe niebezpieczeństwo zagrażało bramie Floryańskiej w roku 1900, w czasie budowy linii kolei elektrycznej. Okazała się bowiem potrzeba podwyższenia przestrzeni do przejazdu wozów tramwajowych. W tym celu miano łuk kamienny podcinać. Mieszkańcy Krakowa jednak zaprotestowali przeciw naruszaniu starożytnej budowli, jedynej z dawnych bram miasta. Obniżono tedy tylko odpowiednio poziom drogi i sprawę w ten sposób pomyślnie załatwiono.

Sąsiedztwo rondla i bramy Floryańskiej stanowią baszty i mury obronne. Są one wraz z arse-



Szafa z burką Czarnieckiego i żupanem Żółkiewskiego.

nałem, mieszczącym zbiory muzeum Czartoryskich, pod opieką dziedzica tego muzeum.



Sala z ceramiką, fajansami i porcelaną w Muzeum ks. Czartoryskich.

Skarbiec sztuki i pamiątek narodowych.

W zacisznem ustroniu Krakowa, w ulicy Pijarskiej, łączącej ulice Floryańską i św. Jana, wznosi się w najbliższem sąsiedztwie barbakanu i bramy Floryańskiej niepozorny na oko gmach, zlewający się w jedną całość z resztkami murów fortyfikacyjnych i starych baszt obronnych. A jednak mieszczą się tam od lat około 30, zbiory bezcennej wprost wartości, składające wspaniałe Muzeum im. książąt Czartoryskich.

Zawiązków tego Muzeum szukać należy w pamiętnych z dziejów i literatury naszej Puławach. W „Sybilli“ i w „domu gotyckim“, w owych świątyniach, poświęconych chwale narodowej przeszłości i mieszczących zabytki i relikwie jej najświętsze, rozpoczęła Izabella z Flemingów ks. Czartoryska w latach 1798—1809 wraz z mężem ks. Adamem, generałem ziem podolskich, gromadzić pamiątki historyczne, zabytki i dzieła sztuki, bibliotekę oraz rękopisy. Sławne te na całą Polskę i w życiu kulturalnem kraju nie małą rolę grające zbiory, pomnażały się ciągle aż do r. 1831. Wskutek powstania listopadowego jednak, zbiory puławskie zostały rozprószone, a ich część najdrogocenniejsza: dzieła sztuki, zabytki, pamiątki, monety i medale, tudzież rękopisy, przewieziono do Paryża, biblioteka zaś znalazła pomieszczenie w Sieniawie w Galicyi. W tym czasie całość zbiorów znacznie ucierpiała, przy przewożeniu ich bowiem wśród ogólnego niepokoju i nieszczęść krajowych, wiele cennych przedmiotów zaginęło bezpowrotnie. Ocalała na szczęście część ich główna, podstawowa i ona stała się jądrem dzisiejszego Muzeum.



Sala portretów, w galeryi obrazów Muzeum ks. Czartoryskich.

Myśl przewodnia ks. Izabelli i Adama Czartoryskich była świętą tradycyą dla ich potomków i spadkobierców, a wnuk ich, ks. Władysław, dążył usilnie do zjednoczenia wszystkich zbiorów oraz pomieszczenia ich na ziemi ojczystej. Po r. 1870 przewieziono zbiory mieszczące się w Paryżu, do Kurnika w W. Ks. Poznańskiem, a dopiero w latach 1876 - 1880 udało się ks. Władysławowi Czartoryskiemu skoncentrować całość zbiorów wraz z biblioteką w Krakowie, w sercu Polski, obok Akademii Umiejętności i Uniwersytetu Jagiellońskiego. W urzeczywistnieniu tej myśli pomocną mu była gmina miasta Krakowa, ofiarowując na pomieszczenie zbiorów część murów miejskich z dwoma fortyfikacyjnemi wieżami, oraz z dawnym arsenałem miejskim, który odpowiednio przebudowany, zamieniony został na bibliotekę.

Odtąd wspaniałe te zbiory rosną coraz piękniej i dziś przedstawiają one muzeum, które odpowiada w pełni nowożytnym naukowym wymaganiom, mające też ogólniejszy i europejski charakter.

Muzeum ks. Czartoryskich składa się z **właściwego muzeum**, do którego należą zabytki starożytne egipskie, chaldejskie, asyryjskie, fenickie, greckie, etruskie i rzymskie, wyroby złotnicze, brązowe, szkła, terrakota, marmur i kamienie, dalej zabytki z czasów chrześcijańskich, średniowieczne, epoki odrodzenia i późniejsze, tak zagraniczne jak krajowe, w tem wyroby ze złota i srebra, z brązu i żelaza, ceramika, tkaniny, tak zwane „ciekawości“ i historyczne „pamiątki“; należy tu dalej zbrojownia, składająca się z broni rozmaitych rodzajów i epok, w znacznej części polskiego pochodzenia, wykopaliska przedhistoryczne ziem polskich, monety, medale i pieczęcie, obrazy i miniatury, wreszcie ryciny, rysunki i mapy. Drugą część Muzeum stanowi **biblioteka**, bogata przedewszystkiem w *Polonica*, tudzież w dzieła i wszelkiego rodzaju publikacye, dotyczące sztuki, a trzecią bogate i znane badaczom na polu histo-



Sala gobelinów w Muzeum ks. Czartoryskich. Po lewej, wspaniały gobelin z XVI w., po prawej, obrazy Norblina.

yi polskiej archiwum. Biblioteka Muzeum ks. Czartoryskich liczy około 100.000 tomów, archiwum zaś ma przeszło pięć tysięcy kodeksów rękopiśmiennych i przeszło tysiąc dwieście dyplomatów. Najdawniejsze z nich pochodzą z XII w.

Niepodobna tu wchodzić w bliższy, szczegółowy opis tego prawdziwego skarbca sztuki i pamiątek narodowych. Bo każdy niemal przedmiot albo przedstawia wysoką wartość artystyczną, czy archaiczną, albo też jest drogi dla serca każdego Polaka, jako pamiątka przeszłości świetnej, jako zabytek dawnych czasów, jako relikwie po wielkich naszych przodkach.

Niezmiernie cenną jest' galerya dzieł sztuki, obrazów i miniatur. Dział obrazów składa się z utworów malarzy włoskich, flandryjskich, holenderskich, francuskich i niemieckich a nawet hiszpańskich. Są tam również dzieła artystów polskich i cudzoziemców, którzy w Polsce pracowali. Zebrane są głównie w dwu obszernych salach, choć i w paru innych są one pomieszczone. Wśród nazwisk malarzy, jakich dzieła zawiera galerya muzealna, spotykamy niemal wszystkie najświetniejsze, uznane w całym świecie.

Niemniej wspaniałą jest sala gobelinów, z których zwłaszcza jeden, pochodzący z XVI w., zdumiewa rozmiarami, oraz misternością i artyzmem wykonania. W tej samej sali mieszczą się wspaniałe obrazy Norblina, słynnego malarza francuskiego, który przez wiele lat pracował w Polsce i w Warszawie założył szkołę malarską.

Nadzwyczajnie bogatym jest zbiór ceramiki, fajansów i porcelany, przedziwnie pięknie i artystycznie obrobionych a pochodzących z całego niemal świata. Mieszczą się one w oszklonych szafkach, poustawianych starannie w kilku obszernych salach.

Świetną przeszłość rycerską naszego narodu, przypomina zwiedzającym Muzeum cały szereg sal, w których nagromadzone są kompletne zbroje rycerskie, rzędy, sztandary, pałasze i szable, wśród tych wiele pamiątkowych, a wreszcie doskonale zachowany namiot turecki, jeden z tych, które wojsko polskie zdobyło pod Wiedniem.

Poza tem zawiera Muzeum ks. Czartoryskich moc całą drogocennych przedmiotów i pamiątek historycznych, szat liturgicznych oraz świeckich, między temi burkę Czarneckiego i żupan Żółkiewskiego, pomieszczone w osobnej szafie.

Pomieszczamy w dzisiejszym numerze szereg zdjęć, przedstawiających niektóre fragmenty z wnętrza Muzeum ks. Czartoryskich w nadziei, że dadzą one choć słabe pojęcie o bogactwie i cenności tego drogiego skarbca. Aby jednak zapoznać się z nim bliżej, aby zrozumieć i ocenić, jak wysoką była kultura w Polsce, jak świetną była nasza przeszłość narodowa, trzeba spędzić tam wiele godzin i z natężoną uwagą przypatrzyć się nagromadzonym skarbom.

* * *

Wszystkie zdjęcia, odnoszące się do Muzeum im. ks. Czartoryskich, zostały dokonane za zezwoleniem Zarządu tego Muzeum, przez naszego redakcyjnego fotografa W. Lisa, jak również zdjęcia, przedstawiające bramę Floryańską i barbakan.



Namiot turecki, zdobyty przez wojska polskie pod Wiedniem, obecnie mieszczący się w Muzeum ks. Czartoryskich.

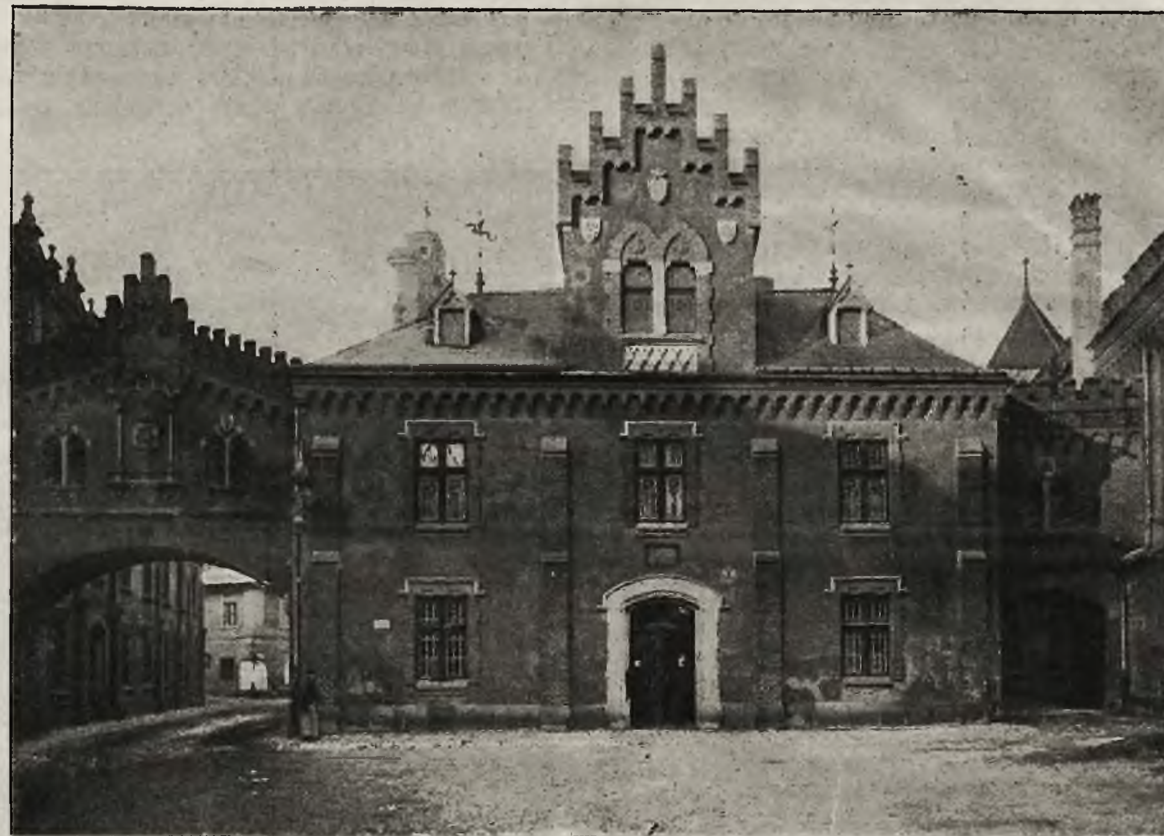


Główna sala galeryi obrazów w Muzeum ks. Czartoryskich.

Legat dla rządu włoskiego.

Przed niedawnym czasem pisaliśmy o świeżo zmarłym ostatnim męskim potomku starożytnego rodu Strozzich, którego zwłoki przy wielkim udziale publiczności i przedstawicieli władz wyprowadzono z wspaniałego pałacu przy ulicy Tornabuoni we Florencyi na miejsce wiecznego spoczynku. Pałac ten, zapisany przez zmarłego księcia rządowi włoskiemu, przedstawia jeden z najpiękniejszych i najcenniejszych zabytków architektury z czasów odrodzenia.

Jak widać z załączonej fotografii, pałac ten strukturą swoją różni się nieskończenie od nowoczesnych gmachów, upstrzonych różnorodnemi sztukateryami, które mają stanowić o jego piękności. Już na pierwszy rzut oka pałac Strozzich przypomina żywo epokę, w której został zbudowany. Wysoko umieszczone niewielkie okna parterowe, szczelnie zakratowane i wąska brama, wskazują na to, iż właściciele przedewszystkiem pragnęli zabezpieczyć się przed niespodziewanymi napadami, jakie aż nadto często zdarzały się w ówczesnych burzliwych czasach. Filip Strozzi, który w roku 1489 kładł fundamenta pod ten pałac, prowadził zacięte spory z potężnymi Medyceuszami, chciał więc, by nowowznoszone mury służyły mu nietylko za mieszkanie ale i za schronienie. Budowa pałacu tego, prowadzona według planów słynnego architekty Giuliano de Majano, trwała przeszło 64 lat; przetrwała wszystkie pokolenia rodu i dzisiaj świadczy tylko o minionej jego świetności.



Gmach Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie.



Legat dla rządu włoskiego: Pałac Strozzich w Florencyi.

Kominek.

Szlachcicem rodził się, jak wielu przed nim —
Wioskę dziedziczną miał po ojcach, dziadach
I byłby wytrwał w tem życiu powszedniem
Na gospodarskich z włodarzem naradach,
Gdyby... Lecz mały na wstępie przyczynek:
W dworku po ojcach był stary kominek,

W architekturze dawnej, staroświeckiej
(Po dziś się jeszcze mogą świadczyć Gdańskiem).
W czasach, gdy szlachty nie robił Niesiecki,
Jak to bywało później w lecie Pańskiem
Tysiącznem... mniejsza już o datę ścisłą —
Kominkiem świecił każdy dom nad Wisłą.

Był on poniekąd symbolicznym zniczem
Szlacheckich ognisk. Tak! A nawet wolę —
Bezwzględnej prawdzie stanąwszy obliczem —
Przyznać, że raczej mieścił dwa symbole:
Jeden płonący — rodzinnego ciepła,
A drugim była — garść popiołów skrzepła.

Ale powróćmy do wątku, do „gdyby..."
...Wieczór jesienny nadchodził w pomroku,
Wicher podzwaniał w szklane dworku szyby,
Powiędłym liściem lip trzęsąc w podskoku,
Czasem furknęła chorągiewka z blachy,
Jaką przed laty miały wszystkie dachy,

Czasem pobliskich drzew nagie konary,
Chwiejąc się z skrzypem, by żóraw studzienny,
Brały na siebie kształt tańczącej mary
I, kiedy księżyc wypływał półsenny,
Rzucały — w pląsach zaplecionym, cieniem,
Po białych ścianach dworku, jak wspomnieniem.

I była wokół ta melodya smutna,
Co, zatargawszy piersią, schodzi w ciszę
I w głębi duszy przysiada okrutna
I tam, zbroczoną w sercu myślą, pisze —
I takie zawsze umie dobrać słowo,
Że raz wpisane ma moc zagrobową.

Imci pan Stefan (sławne imię nosił
Dziedzic, bohater mego powiadania)
Ile że nieco deszcz w odwieczerz rosił,
Już od godziny wrócił z polowania,
I nie zmieniwszy łowczego ordynku,
Z dwururką w ręku grzał się przy kominku.

Było mu czegoś chłodno i w lisiurce,
Jakoś nijako, nieswojo i gniewno
I choć się płomień przeglądał w dwururce
Raz po raz w głownie rzucał smolne drewno,
Topiąc źrenice w każdej skierce jasnej,
Jakby ją pragnął roztlić w duszy własnej.

Więc izba była pełna blasków, łuny,
Podobna świtom wschodu, lub jutrzence —
Ścian białych złote czepiały się struny,
Jak po przerwanej drgające piosence,
Byle ich dotknąć sercem, nieść gotowe
Ciąg dalszy w ciche ściany modrzewiowe.

Tylko że śpiewak się jeszcze nie zbudził,
Coby zatęsknił za pieśnią przerwaną...
Więc się nie będę porównaniem trudził
Dla tych, u których każda ściana ścianą —
Wolej świetlane przeniosę efekta,
Na rozwieszone górą konterfekta.

Prosto kominka z pod rosochów łosich
Patrzyło kilku Imć Stefana przodków —
Jakieś figury z czasów przedlatosich,
Groźne, stworzone do łamania podków,
Z piersią w stalowej zakutą zbroicy,
Z kordem u boku i dumą w źrenicy.

Niektórym może kominkowe błyski,
Na starodawne padłszy malowidła,
Twarz wyszczerbiły w krwawych nacięć kreski,
Innym sokole z ramion wzrosły skrzydła,
I jakby chcieli trzymać straż nad dworcem
Szumiącym w ręku wstrząsali proporcem.

W pośrodku męskich praszczurów i matron
Świecił niewielki w ramach wizerunek —
Z oddali rzekłbyś, że to święty Patron —
Bo go stalowy nie zdobił rynsztunek,
Szarą miał odzież i gwiazdę u boku
Jedną, a dziwną moc nieziemską w oku.

Pan Stefan właśnie dorzuciwszy polan,
Siadł w zamyśleniu na dębowej ławie,
I obie ręce zaplótłszy u kolan,
Dumał, na poły marząc, pół na jawie...
Nagle... bezwiednie zwrócił chmurną głowę
Na oświetloną kominkiem alkowę.

Spojrzał po ramach złoconych, po gwieździe,
W której się drugie żarzyło ognisko,
Jakby raz pierwszy znalazł się w tym gnieździe
Co mu dziedzictwem było i kołyską,
Patrzył zdziwiony... I czuł, że się spłoni,
Jeśli go o co zechcą spytać — oni...

Kazimierz Laskowski (El).,

KOLEJARZE.

Powieść na tle stosunków kolejowych

napisał

ARTUR GRUSZECKI.

(Ciąg dalszy).

Mijał jednak jeden dzień i drugi, a Stański milczał. Trzeciego dnia, nie mogąc go spotkać, napisała bilecik pozostawiony bez odpowiedzi. To ją zaniepokoiło, a gdy spotkała Stańskiego, ten zbył jej pytania lakonicznemi słowami:

— Są trudności i przeszkody, zaczekajcie... może się uda.

Janinę opanowało zniechęcenie i poczęła tracić wiarę w możliwość powodzenia. Z poprzedniego podniecenia wpadła w apatyę i najchętniej usunęłaby się gdzieś zdala od domu, ludzi, a zwłaszcza biura. I właśnie, jak gdyby na przekór, naczelnik zadowolony z poprzedniej jej spiesznej i dobrej roboty, powiększył ilość „kawałków", które miała odrobić, a spostrzegłszy pewną opieszałość robił zgryźliwe uwagi. Zażądał pewnego referatu, a gdy Janina powiedziała, że jeszcze nie gotowy, rzekł:

— Kilka dni pracowała pani dość dobrze, a teraz zamiast roboty marzenia — uśmiechnął się drwiąco — zostaw je pani w domu, a w biurze pracuj pani. Następnie zwrócił się do Borskiego z zapytaniem: Kiedyż skończymy? — westchnął, wskazując na plik aktów.

— Kiedy?... Nie wiem panie naczelniku, bo robimy za inne wydziały.

— Inny wydział, czy nie inny — mówił podrażnionym głosem — skoro przyjdzie akt do naszego biura, musi być zrobiony.

— Śmieją się z nas, że za nich odrabiamy — mruknął Borski.

— Nic mnie to nie obchodzi i takich wiadomości nie potrzebuję — i powiedziawszy to wyszedł do swego pokoju.

— Naszą pracą chce się dorobić awansu — szepnął Wilmański.

I pracowali. Ze wszystkich kątów biura, z półek, z papierów wyglądała nuda i przymus pracy. Unosiła się w powietrzu, przytłaczała piszących, przeszkadzała w pracy, przygaszała oczy. Borski pracował jak koń włożony do chodzenia w kieracie. Odrabiał „kawałek" jeden po drugim, a czekał cierpliwie trzeciej godziny, godziny wyprzągnięcia i wyzwolenia. Naczelnik grupy pracował z gorączkowym pośpiechem, kłuty nieustannie ostrogą możliwego awansu, ale Wilmański, ale Janina odczuwali całą czczość, nudę i gwałt zadawany przez pracę przymusową. Ileż razy Janina odkładała pióro, mrucząc do siebie: nie, nie mogę dłużej i siedziała cicho, patrząc bezmyślnie na pokój, w którym unosiły się niebieskawe pasemka dymu tytuniowego, a w promieniach słońca, wpadających przez brudne szyby, błyszczał pył wznoszący się przy każdem poruszeniu aktów biurowych. W pokoju przy zamkniętych oknach, z dymem cygar i papierosów, z kwaskowatą wonią foliałów, atmosfera była ciężka, mdła, dusząca. A na dworze z pogodnego nieba lśniło słońce, odzywał się świegot ptactwa, dzwoniły w brudne szyby owady, tam była wiosna, życie, ruch, a w zatęchłem biurze nuda, martwota i przymus.

Że też ludzie męczą się tak dobrowolnie, rozmyślała Janina, gdy mogłoby wszystkim być dobrze, rozkosznie, szczęśliwie, aby tylko wszyscy zechcieli zmienić warunki bytu kapitalistycznego na socyalne. I ten Borski zapracowany, przytłoczony troską rodzinną i ten naczelnik zamęczający siebie i drugich pracą nad siły, odetchnęliby obaj, spojrzeliby z radosnym uśmiechem na świat, na życie...

W tem wszedł naczelnik i stanąwszy w progu spojrzał złemi, niespokojnemi oczyma. Zdawało się Janinie, że ze szczególną złośliwością przyglądał się jej bezczynności. To też jak pod uderzeniem bata wyprostowała się w krześle i zajęła się pisaniem. I znów minęło dwa dni męczących, jednostajnych.

Nareszcie jednego ranka wszedł Stański do biura. Z twarzy rozjaśnionej poznała Janina, że przychodzi z dobrą wieścią. Z gorączkową niecierpliwością czekała jego słów, a Stański przesyłając jej uśmiechem i spojrzeniem uspokojenie, witał się z kolegami, a upewniwszy się, że naczelnika nie było na razie w przyległym pokoju, rzekł swobodnym głosem:

— Wysyłamy dziś deputacyę do pana inspektora Kulińskiego, może pani w imieniu manipulantek weźmie w niej udział.

Oczy jego powiedziały jej, aby przyjęła, co też uczyniła.

— Jeśli trzeba, jestem gotową.

— W takim razie proszę panią, deputacya czeka.

— Jaka? o co? — zawołał Wilmański.

— Cóż to nowego?—odwrócił się Borski zdziwiony.

— Wytłómaczę panom później. Chodźmy — zwrócił się do Janiny.

Gdy wyszli na kurytarz, uśmiechnięty Stański szeptał:

— Udało mi się nareszcie pozyskać do komitetu zwołującego trzech urzędników. Jeden z ruchu, dwóch z dyrekcyi, wy czwarta, idą do inspektora.

— Cóż mam mówić? — spytała.

— Na razie nic — odpowiedział i przedstawił ją dwom młodszym panom i jednemu starszemu, który spojrzawszy bacznie na Janinę rzekł:

— Jesteśmy w komplecie.

Szli kurytarzem pierwszego piętra, a doszedłszy do miejsca, gdzie mieszczą się pokoje właściwej dyrekcyi, zwolnili kroku, stąpali ostrożnie, oglądając się z pewną obawą wokoło.

Gierlicz, prowadzący deputacyę, zapytał uprzejmie woźnego, czy pan inspektor Kuliński w biurze, a otrzymawszy potwierdzającą odpowiedź wysłał woźnego z uwiadomieniem, że deputacya urzędników chciałaby z nim pomówić.

Woźny nie bez zdziwienia spojrzał po obecnych i w milczeniu poszedł zaanonsować.

Czekali w kurytarzu, a po niespokojnych spojrzeniach i ruchach widać było dręczącą ich niepewność. Zjawił się woźny i zostawiając drzwi otworem, rzekł głośno:

— Pan inspektor prosi.

Gierlicz szybko zdjął kapelusz, ręką otarł łysinę, musnął wielkie blond wąsy, odchrząknął, spojrzał na towarzyszy i cichymi krokami wszedł do pokoju inspektora.

Za biurkiem szafkowem, zawalonem papierami, siedział niemłody, łysawy, niewyraźny blondyn, który gładząc maleńkie faworyty patrzał badawczo na wchodzących.

Na ich bardzo niskie ukłony, połączone ze szurowaniem butów, skłonił się lekko, i wydymając górną, wygoloną wargę rzekł tonem urzędowym:

— O co idzie?

Gierlicz znów zgiął się wpół, leciutko chrząknął i mówił tonem pokornym i uprzejmym:

— Wiadomo zapewne panu inspektorowi, że nasze położenie materyalne nie należy do najlepszych — a widząc chmurę na czole dygnitarza pospieszył — nie jest to winą rządu, lecz drożyzny i różnych przypadków życiowych — odetchnął głęboko.

— Cóż ja na to poradzę? — odezwał się obojętnie inspektor.

— Właśnie w tej sprawie przyszliśmy do pana inspektora... Tylko pomoc własna, tylko wspólne siły mogą nam, kolejarzom, przynieść ulgę pewną... Otóż umyśliliśmy założyć kasę zaliczkowo-oszczędnościową, któraby w chwilach ciężkich była nam pomocą...

— Macie przecież panowie pensyę, a w razie niezwykłej potrzeby kasę pożyczkową — przerwał mu dygnitarz — po cóż wprowadzać jakieś nowinki?

— Pan inspektor ma zupełną słuszność—skłonił się Gierlicz — ale nam idzie o utworzenie okręgowej kasy, w obrębie naszej dyrekcyi. Pożyczki udzielane będą minimalnie oprocentowane i obejdzie się bez pisaniny, próśb, zwłok...

— Hm.. jeśli panowie chcecie, to zakładajcie sami, o ile pan dyrektor się nie sprzeciwi, ale cóż ja mam z tem wspólnego?

— Znając działalność społeczną i ofiarność pana inspektora, jak również niestrudzoną pracowitość, jesteśmy przekonani, że kasa nasza świetnie się rozwinie jedynie pod protektoratem pana inspektora, i z tego powodu wysłano nas, jako delegacyę do pana nadrewidenta.

Dygnitarz uśmiechnął się łaskawie, podobało mu się i pochlebstwo i prośba. Bez studyów prawnych i technicznych doszedł do szóstej rangi. Wiedział, że na tem stanowisku kończy się jego karyera urzędnicza i nie mogąc zadowolić swej ambicyi na tem polu, pożądał odznaczenia wśród ogółu tytułem ładnie brzmiącym i wywieraniem wpływu. W uszach zabrzmiał mu tytuł: „prezes", i słowo to coraz bardziej stawało się muzykalnem i piękniejszem. Słyszał je ze wszech stron, widział wydrukowane w dziennikach, umieszczone na ładnym bilecie wizytowym.

„Prezes!..." prześliczne słowo, ale... wypada się podrożyć, tak dla samej przyzwoitości, więc odpowiedział:

— Cieszy mnie bardzo zaufanie panów urzędników... tak, to zaszczyt... jednak są inni, godniejsi mojem zdaniem... radzę panom udać się do nich, bo prawdę powiedziawszy mam pracy cały nadmiar i obawiam się, że będę przeciążony...

— Ależ panie inspektorze — zawołał z mocą Gierlicz — pan posiada pełne nasze zaufanie, a znane uczucia obywatelskie pana inspektora nie pozwolą mu odrzucić naszej prośby.

W tem nagle w mózgu inspektora przebiegła, jak błyskawica, myśl, że podobna kasa może się niepodobać panu dyrektorowi, a tem samem i on obniży się w jego oczach. Leciutki dreszcz obawy go przeszedł i już postanowił odmówić, lecz z drugiej strony to słowo „prezes" takie piękne, takie słodkie... po namyśle więc wybrał drogę pośrednią:

— Przyjmuję ofiarowaną mi godność ale pod warunkiem... tak jest, warunkowo... znacie panowie prawdziwie ojcowską dbałość pana radcy dworu i dyrektora o swych podwładnych, otóż obowiązkiem panów jest przedewszystkiem wystarać się o aprobatę kasy przez pana dyrektora...

Delegaci spojrzeli na siebie z pewnem zakłopotaniem. Iść do samego pana dyrektora, do wszechwładnego pana, który zapewne nie raczy mówić z nimi, urzędnikami ósmej, dziewiątej i dziesiątej rangi; przestąpić mają próg biura, do którego z obawą idą urzędnicy siódmej i szóstej rangi... a jeśli będzie w złym humorze, albo też będzie mu dolegało coś fizycznego...

Gierliczowi błysła myśl zbawcza, skłoniwszy się zatem, zaczął:

— Życzenie pana inspektora było właściwie naszem życzeniem... i właśnie dlatego udaliśmy się do pana inspektora, że będąc w ciągłej styczności z panem dyrektorem, zechce we właściwej porze i formie poprzeć naszą sprawę przed panem dyrektorem.

Frazes: „w ciągłej styczności z panem dyrektorem" był tak miłym i tak pochlebiał panu inspektorowi, że postanowił zrobić próbę i osobiście przedstawić rzecz dyrektorowi.

— Moi panowie, nigdy z zasady nie usuwam się od służby publicznej i chcąc dać dowód panom, jak wysoko cenię wasze zaufanie, będę dziś jeszcze u pana radcy dworu i poprę waszą sprawę.

— Dziękujemy najserdeczniej panu inspektorowi.— i szykowali się już do odejścia.

— Jeszcze słowo! — zawołał pan inspektor.

— Słuchamy -- skłonił się Gierlicz.

— Proszę o statuty kasy, bo może być w nich coś, co sprzeciwia się porządkowi oficyalnemu.

— Oto są — podał Gierlicz — a kiedy pan inspektor każe nam się stawić?

— Po godzinie drugiej... statuty przejrzę i powiem rezolucyę pana radcy dworu.

Skłonili się, wyszli, a na kurytarzu, gdy już minęli woźnego, rzekł Gierlicz z uśmiechem wyższości:

— A co?! Wziąłem go!... Dureń jakiś, odsyła nas do dyrektora, a idź sam, od tego kłaniamy się tobie... czy nie było sprytnie!

— Bardzo... lecz jeśli dyrektor odmówi? — zauważył jeden z delegacyi.

W tem to już głowa przyszłego prezesa — zaśmiał się drwiąco.

O godzinie drugiej znów zjawiła się deputacya, ale już pewniejsza siebie i śmielsza.

Dygnitarz przyjął ich z łaskawym uśmiechem i gładząc krótkie faworyty rzekł:

— Pan radca dworu przyzwolił na założenie kasy, ale zobowiązał mnie, tem samem i panów, że w niczem nie przekroczycie godności urzędników państwowych... Kasa ma być jedynie instytucyą finansową, żadnym klubem politycznym, a cóż dopiero agitacyjnym — zmarszczył brwi surowo.

— Ależ naturalnie, panie prezesie – powiedział Gierlicz z ukłonem.

— Uprzedzam panów, że jako prezes nie pozwolę na żadne uboczne cele, jedynie o statucie może być mowa i to w granicach legalnego porządku.

— Tak jest, panie prezesie i dziwią nas podobne zastrzeżenia; my przecież wiemy, co winniśmy sobie, jako urzędnicy najpoważniejszej instytucyi państwowej.

— Hm... wierzę panom, a jeśli o tem wspomniałem, to jedynie z tego powodu, że obecnie panuje zaraza krytyki i lekceważenia zasad porządku, ugruntowanego na prawach boskich i ludzkich... W jaki sposób myślicie panowie przystąpić do tej ważnej sprawy?

— Wydamy odezwę komitetu i porozumiawszy

się z panem prezesem naznaczymy dzień walnego zgromadzenia.

— No, tak... spodziewam się jednak, że służba kolejowa... nie mówię o wykluczeniu, bo ci ludzie ciężko pracują — westchnął — ale to ludzie prości, bez wykształcenia, raczej nam zaszkodzą, aniżeli pomogą. Czyż nie tak? — a spostrzegłszy zasępione miny dodał: — gdy uchwalimy statut, każdy funkcyonaryusz kolejowy może przystąpić... Na kiedyż zgromadzenie?

— To łatwo obliczyć — odpowiedział Gierlicz — dziś wtorek, jutro wydrukuje się odezwę, we czwartek i piątek rozeszle się po biurach, zatem w sobotę odbędzie się zgromadzenie założycieli.

— Bardzo dobrze — skinął głową — w sobotę każdy z panów ma więcej czasu i w niczem nie przeszkodzi się biurowym zajęciom, bo po sobocie jest niedziela... Przed zgromadzeniem zobaczę się z panem, panie Gierlicz.

— Tak jest... stawię się.

— Zatem do widzenia panom i jeszcze raz dziękuję za zaufanie, którem obdarzyliście mnie panowie.

W piątek rano po rozdaniu odezwy, zapraszającej na zgromadzenie, Wilmański przyszedłszy do biura, zanim przejrzał się w lusterku, aby przygładzić włosy i wąsy, rzekł półgłosem do Borskiego i Janiny:

— Wiecie, będzie heca u nas.

Borski spojrzał lekceważąco na niego, wzruszył ramionami i milczał.

— Co? Nie wierzycie? Na tem zgromadzeniu kasowem ma być awantura... Mówił mi ktoś pewny.

Na te słowa Janina zarumieniła się, lecz spytała spokojnie:

— Jaka awantura? Co też pan mówi?

— Jak Bozię kocham! Nie wiem dokładnie, ale dziś się dowiem, ale że ma być, to na p.

— Nie zawracaj pan głowy — mruknął Borski — znosi pan plotki — i wziął się do dalszej pracy.

Janina była jednak niespokojną, wprawdzie wniosek Stańskiego był bardzo dyplomatycznie ułożony, lecz miał pozostać tajemnicą, aż do chwili wypowiedzenia, aby usunąć wszelkie trudności, i kto wie, czy właśnie o tym wniosku nie mówił Wilmański? Może ktoś rozgłosił i całą sprawę przez to popsuje. To też po wyjściu naczelnika, spytała dość niecierpliwie:

— Panie Wilmański, o jakiej to awanturze pan mówił?

— A co? — zaśmiał się — już się boi założycielka i deputatka! Dobrze tak pani, po co kłaść paluszki między drzwi?

— Wcale się nie boję — odpowiedziała ostro — i zawsze się upomnę o swoje prawa.

— Bardzo słusznie — mówił Borski z powagą — my przecież nie niewolnicy i wolno nam zgromadzać się i zakładać towarzystwa... A co do owych rzekomych awantur, nie przypuszczam wcale. Przecież zgromadzą się tam urzędnicy, nie żadna hołota.

— No, no, zobaczymy — śmiał się Wilmański.

W tej chwili otworzyły się drzwi i wpadł Stach mówiąc z progu:

— Słyszeliście nowinę?! — i nie czekając odpowiedzi mówił dalej. Na zgromadzeniu mają uchwalić memoryał do ministra komunikacyi...

— Memoryał? — zdziwił się Borski — a to po co? na co? do czego to podobne?

— Tak jest, memoryał — potwierdził Stach, z poważną miną — wszystkie łajdactwa przy awansach, urlopach, przy pracy itd. itd. mają być umieszczone, zredagowane i podpisane przez zebranych.

— Ale w jakim celu? — spytał Wilmański.

— Jako skarga do ministra z prośbą o przysłanie komisyi śledczej.

— Musi się wściekać dyrektor — śmiał się Wilmański.

— Dyrektor swoją drogą — mówił Stach — ale inspektor, który objął prezesostwo, temu trzęsą się łydki — śmiał się.

— Otóż u nas tak zawsze — narzekał Borski — zacni, porządni ludzie chcą zrobić coś pożytecznego, dobrego, a jacyś narwańcy dalejże swoje.

— Ja wprawdzie nie podpisałbym memoryału — rzekł Wilmański — a swoją drogą należałoby tym dygnitarzom przypomnieć, że wszystko ma swe granice.

— Lubię takie gadanie — mówił drwiąco Borski — widać że pan, panie Wilmański niema pojęcia o drodze, jaką idą podobne skargi.

— Wiem, wiem... nie mówiłem też, aby to co pomogło, ale zawsze napędzi strachu.

— Dzieciństwo — wzruszył Borski ramionami — kruk krukowi oka nie wykole... a skrupi się na skarżących. Zresztą bardzo wątpię, czy zgromadzeni zgodą się na memoryał?

— Wszystko jedno — zawołał Stach — wystarczy podnieść tę sprawę... zaraz napiszą dzienniki, zrobi się rumor, zaczną gadać, roztrząsać, może posypią się skargi...

— Ale kasy nie będzie — westchnął Borski — i zamiast rzeczy pożytecznej, będzie trochę dymu i swędu.



I wydymając górną, wygoloną wargę, rzekł tonem urzędowym: O co idzie?

— Uchwalą wpierw kasę... to wiem napewne... a dopiero po tem memoryał.

— I kto wystąpi z wnioskiem? — spytał Wilmański.

— Kto? nie wiem... to tajemnica.

Wszedł naczelnik i rozmowa się przerwała.

Janina, słuchając o memoryale, domyślała się, że prawdopodobnie Berkholc chwalił się swym pomysłem i tą drogą dostał się ów memoryał do wiadomości interesowanych. Obecnie zaczęła się obawiać, że ktoś może przedwcześnie rozgłosić o wniosku Stańskiego.

W sobotę po wszystkich biurach roiło się od rozmaitych przypuszczeń, domysłów, plotek i wszyscy byli zaciekawieni zgromadzeniem popołudniowem.

Dowiedział się też pan inspektor, jeden z ostatnich, o wieściach obiegających i poruszony tem do żywego, posłał natychmiast po Gierlicza.

— Słyszałeś pan, co mówią? Co to ma znaczyć? — spytał surowo.

— Coś nie coś zasłyszałem... pewno plotki ktoś puścił rozmyślnie.

— Ale w jakim celu? To przecież może zaszkodzić nietylko sprawie, ale narazić mnie panu dyrektorowi. Na żadne rewolucye nie pozwolę, powtarzam: na żadne. W przeciwnym razie zrzeknę się prezesostwa.

— Jeszcze raz upewniam — mówił podrażnionym tonem Gierlicz — że w komitecie o podobnych rzeczach nikt nie wspomniał... czy jednak kto z obecnych nie postawi jakiego wniosku, o tem nie mogę wiedzieć.

— Odbiorę głos i koniec — zawołał dygnitarz — nie będę malowanym prezesem... a zresztą dla kasy nie myślę się narażać.

— Bardzo słusznie... przecież każdemu z nas zależy na stanowisku służbowem.

— Bo to widzi pan... mówiąc szczerze, to takiemu ze służby kolejowej, albo z niższych podurzędników zależy na posadzie i marnej pensyi? Nie będzie tu, będzie gdzieindziej... trochę przebieduje, no ale do tego oni nawykli. A co innego my urzędnicy, i pozycya i pensya i kwaterowe... no i powaga nasza. Więc bardzo proszę żadnej zmowy, wniosków, nieporządków... Tu idzie o naszą sytuacyę, o godność urzędu... rozumie pan?

— Podzielam w zupełności poglądy pana prezesa i sam dopilnuję.

— Liczę na pana — rzekł inspektor, podając mu rękę na pożegnanie.

V.

W obszernej sali, mrocznej mimo czterech okien, zebrali się wezwani kolejarze na naradę. Jakkolwiek dzień czerwcowy był pogodny, większość zjawiła się w ciemnych ubraniach, wytrzymałych na kurz i deszcz, co mimowolnie robiło wrażenie żałobnego zebrania. A gdy dojrzało się te postacie pochylone, z ociężałymi ruchami, z twarzami zmęczonemi, pożółkłemi jak akta, nad któremi ślęczą, te oczy przeważnie uzbrojone w okulary i binokle, odczuwało się mimowolnie, że to ludzie ciężkiej pracy, którym rzadko przyświeca radość. Takim był ogół, a wśród niego było dosyć osobników strojnych, wyświeżonych, z kwiatkiem w butonierce. Ci byli pewni siebie, i tylko bacznie śledzili przechodzących przełożonych, aby im złożyć głęboki ukłon, co im z dziwną łatwością przychodziło. Byli to wybrańcy losu, którzy cieszyli się protekcyą, tak pod względem pensyi, jak i pracy.

Pod oknem środkowem zgromadzili się opozycyjni. Skromnie ubrani, ze surową twarzą, porozumiewali się cicho, przypatrując się pilnie zebranym. Wśród nich rej wodził Stański, mając w odwodzie Kudzyńskiego i Berkholca, a pod samem oknem stała Janina.

— Zaczynać!... Zaczynać! — odezwały się liczne głosy, tłumiąc szmer rozmów.

Na niskie podwyższenie, na którem stały dwa stoliki z nieodzowną karafką wody i szklankami, wszedł inspektor Kuliński, ubrany w czarny angiez, i z miną uroczystą chrząknął. Gdy uciszyło się cokolwiek, zaczął suchym, urzędowym głosem:

— Prawdziwy to zaszczyt dla mnie i komitetu, że na nasze wezwanie zebraliście się panowie tak licznie... Wiadomo panom, że idzie o założenie kolejowej kasy zaliczkowo-oszczędnościowej. Oszczędność panowie, to najpożądańsza z cnót obywatelskich...

— Jeśli jest z czego oszczędzać — zawołał ktoś z głębi.

Mowca rzucił w tę stronę piorunujące spojrzenie, ubrał twarz w powagę, odchrząknął i mówił:

— Najważniejszą, powiem najpierwszą cnotą jest...

— Niewinność — przerwał ktoś.

Zaśmiano się tu i owdzie. Mowca pochwycił dzwonek, potrząsł nim gwałtownie i zawołał:

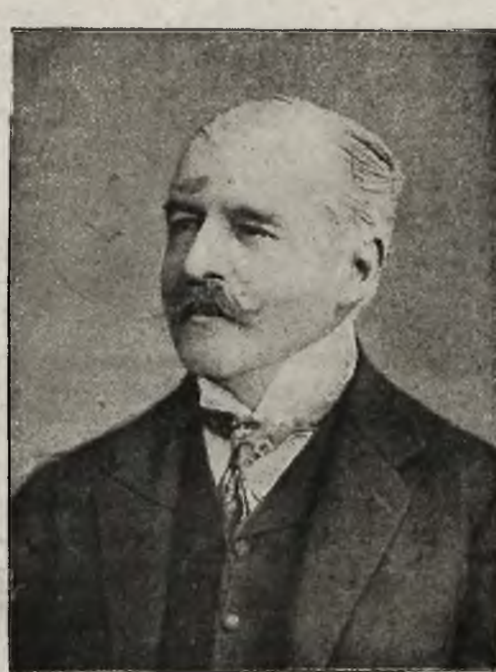
— Panowie! przyszliśmy tu na ważną naradę, nie na zabawę!

— Cicho!... dajcie spokój!... Bez żartów! — odezwały się łagodne głosy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pruskie poselstwo przy Watykanie.

Rząd pruski dla spieszniejszego załatwienia pertraktacyi, jakie prowadzi z kuryą rzymską w celu obsadzenia katedry arcybiskupiej w Gnieźnie, wysłał obecnie do Rzymu nowego posła dr. Ottona Mühlberga. Dotychczasowy poseł przy Watykanie z powodu podeszłego wieku został uznany za nieodpowiedniego na to stanowisko, które obecnie wymaga sprytnego i sprężystego kierownika. Nowy jednak dyplomata zaraz na początku swej działalności doznał porażki, Watykan bowiem na żądania pruskie, domagające się mianowania Niemca arcybiskupem gnieźnieńskim, odpowiedział stanowczo, iż „nie przyjmie nigdy arcybiskupa wbrew woli Polaków, choć obojętnem jest, czy to będzie Polak, czy Niemiec“. Pierwsze więc wystąpienia dr. Mühlberga w Rzymie nie przyniosły tych korzyści, jakich spodziewał się rząd niemiecki. Dr. Otto von Mühlberg, urodzony w roku 1847 w Gdańsku, po ukończeniu nauk prawniczych wstąpił do wojska podczas toczącej się wówczas wojny niemiecko-francuskiej, w której za odwagę otrzymał order Żelaznego Krzyża. Po zawarciu pokoju, nowy rzymski poseł zaliczony został do składu ambasady w Anglii, potem w Ameryce. Po kilku latach powołany do ministeryum spraw zagranicznych, prowadził sprawy oddziału handlowo-politycznego, wreszcie mianowany został podsekretarzem stanu. Gdy ustępował przed kilku miesiącami sekretarz stanu Tschirsky, razem z nim otrzymał nową nominacyę i dr. Mühlberg. Jak widzimy na świeżem swem stanowisku nowy poseł nie zdobył tych laurów, jakich się spodziewał jadąc do Rzymu, gdyż nigdy nie uda mu się skłonić papieża do polityki nieprzychylnej Polakom.



Pruskie poselstwo przy Watykanie: Nowy poseł dr. Otto von Mühlberg.

Wojskowe ćwiczenia na nartach.

Gdy zima śnieżnym puchem pokryje ziemię, gdy wzdłuż i wszerz, dokąd okiem sięgnąć, ciągną się niezmierne, białe przestrzenie, gdy przymrozek zetnie tę białą powłokę w jeden mleczny kobierzec, wybiega z murów miast młodzież ochocza, przypina narty i mknie naprzód w zawody z wiatrem, wspina się na wzgórza, przesadza jednym susem głębokie rowy i wąwozy, dokonywa cudów zręczności.

Nie dla każdego jednak jest to tylko rozrywką; dzisiaj już często narty stają się przedmiotem użytku i oddają doniosłe usługi. W ojczyźnie tego sportu, w mroźnej Norwegii, te śnieżne łyżwy należą do zimowego rynsztunku tamtejszej armii. Początkowo zaopatrzono w nie tylko niektóre oddziały armii norweskiej i nie przywiązywano do tego większej wagi. Dopiero przed dwoma laty, gdy z powodu zerwania dualizmu groziła Norwegii wojna ze Szwecyą i gdy wojska odbywały częste ćwiczenia zimowe, spostrzeżono, jak wielką pomoc w uciążliwych marszach zimowych mogą stanowić narty. Obecnie też już większa część armii norweskiej musi zimą odbywać ćwiczenia na nartach. W ślad za Norwegią poszły i państwa, położone w środkowej Europie, zwłaszcza te, których granice dotykają Alp. Innowacyę tę, zaprowadziła już, nie mówiąc o Szwajcaryi i Francyi, także Austrya. We Francyi, gdzie na wykształcenie sportowe wojsk oddawna już zwraca się baczną uwagę, założono specyalne szkoły nartowe dla pułków górskich. Podczas kampanii zimowej w górach, przewaga oddziałów zaopatrzonych w narty, nad resztą wojska nie przedstawia obecnie żadnej wątpliwości. Żołnierz na nartach, przy pomocy kija alpejskiego, nie tylko daleko lżej odbywa wszelkie marsze, ale wogóle może dotrzeć do takich miejsc, o których zwykły piechur ani nie może myśleć. Sprawność oddziałów nartowych okazała się w manewrach zimowych przy forpocztach i wycieczkach wywiadowczych. Wysłani na rozpoznanie pola walki żołnierze, obciążeni całem uzbrojeniem, wspinali się na nartach lekko i zwinnie po śnieżnych pochyłościach góry, skąd mogli zrekognoskować swobodnie całą okolicę. W tym samym celu wysłane oddziały bez nart, wpadały po pas w śnieg, z którego dopiero trzeba było je wyciągać. Niezmierną przysługę oddają także narty, gdy chodzi o szybkość marszu! Tę samą sprawność okazywali żołnierze i w potyczkach, gdy szybko rozbiegli się na nartach po polu i leżąc na śniegu prażyli ogniem nieprzyjaciela, który zapadał się w śnieg. Austrya, która posiada już oddziały nartowe we wszystkich prawie pułkach piechoty, corocznie odbywa ćwiczenia, wykazujące pożytek nart. Z tego też powodu z każdym rokiem zwiększają się zastępy wojskowych narciarzy i coraz więcej skomplikowane odbywają się cwiczenia.



Wojskowe ćwiczenia na nartach: Batalion nartowy podczas marszu.



Wojskowe ćwiczenia na nartach: Żołnierze szwedzcy strzelają ukryci za bryłą śniegu.



Wojskowe ćwiczenia na nartach. Patrole austryackie na nartach i namiot ze śniegu.

Echa ostatniej wojny.

Bohaterowie z Portu Artura, którymi do upadku tej twierdzy, szczyciła się armia rosyjska przed światem całym, stanęli obecnie przed sądem, oskarżeni o przestępstwo, za które grozi im kara śmierci

Cały świat pamięta do dziś jeszcze, długą, „bohaterską“ obronę twierdzy Port Artur, w czasie oblężenia Japończyków, cały świat pamięta osobę komendanta twierdzy, jenerała Stössla, któremu ce-



Fot. A. Drankow, Petersburg.
Echa ostatniej wojny: Żona generała Stössla.

sarz Wilhelm posłał jeden z najwyższych orderów niemieckich „pour la merite“. Tymczasem okazało się, iż istotną obroną kierowali jenerałowie Kondratienko i Smirnow, generał Stössel zaś, wraz z swymi towarzyszami, od samego początku parł do poddania się. I rzeczywiście towarzystwo Stössla wygrało, przegrywając jednak wojnę. Zamiary swoje spełnili, wyszli z poddanej twierdzy cało, doskonale zaopatrzeni na najdłuższą nawet starość, pozostawiając w niej na łup Japończyków czternaście tysięcy zdrowych żołnierzy, dwa tysiące koni, amunicyi na miesiąc i żywności na czterdzieści dni. Niestety jednak, w ślad za przybyciem Stössla do Petersburga, nadeszły wieści, przedstawiające w należytem świetle mniemane bohaterstwo osławionych generałów.

Obecnie przed najwyższym sądem wojskowokarnym, zasiedli na ławie oskarżonych generał-porucznik „w odstawce“ Stössel, generał-major Reiss,



Fot. A. Drankow Petersburg.
Echa ostatniej wojny: Generał A. Stössel.

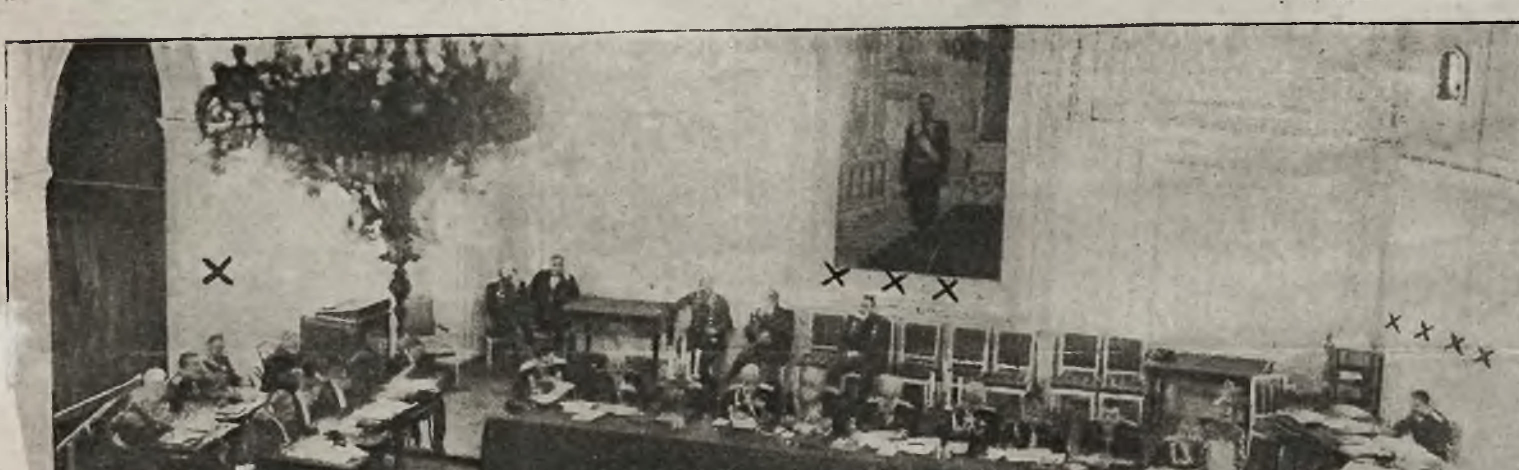
generał-porucznik Fok i wreszcie generał-porucznik Smirnow. Wezwano stu dwudziestu świadków, z siwym, przygarbionym, o piersi pokrytej orderami generalissimusem Kuropatkinem na czele.

Akt oskarżenia zarzuca między innemi Stösslowi uzurpowanie sobie prawa komendanta twierdzy, którym właściwie był jen. Smirnow, gdy Aleksiejew rozkazał telegraficznie Stösslowi złożyć dowództwo i oddać je Smirnowowi. Stössel, zasłaniając się niemożliwością wyjazdu, pozostał w twierdzy, zatrzymując dowództwo. Następnie gdy gen. Fok, dzięki swej nieudolności poniósł klęskę pod Kinczu, uciekając do portu Artura, Stössel telegrafował, iż wojsko wystrzelało wszystkie naboje, prosi więc o order Jerzego trzeciego stopnia dla Foka. Ponadto wszelkie depesze redagował w ten sposób, jakoby osobiście brał udział we walkach, podczas gdy istotnie siedział najwygodniej w swem mieszkaniu. Depeszami swemi wprowadzał w błąd i cesarza, który nie znając prawdy, posłał Fokowi po jego przegranej honorową szablę, ozdobioną brylantami. Oprócz tego oskarżono Stössla o chciwość, zaniedbanie żołnierzy, zbytnią troskliwość o swe zdrowie, wreszcie o zdradę na polu bitwy. W dzień nowego roku 1905, Stössel na własną odpowiedzialność wysłał swego adjutanta z kapitulacyą do gen. Nogiego, a dopiero po otrzymaniu odpowiedzi, zakomunikował to oblężonemu wojsku. Smirnow oskarżony jest oto, iż winien był odczytać oficerom rozkaz Kuropatkina, mianujący go dowódzcą i objąć władzę, tymczasem pozostawił ją Stösslowi. Posiedzenia sądu dopiero się rozpoczęły i potrwają dość



Fot. A. Drankow, Petersburg.
Echa ostatniej wojny: Poseł do Dumy, adwokat Syrtłanow, obrońca Stössla.

długo, główny oskarżony bowiem, powołał na swoją obronę 179 świadków. Jaki będzie wyrok — niewiadomo, w każdym razie gen. Stössel przestał już być bohaterem, za jakiego się dotąd uważał i uchodził.



Fot. A. Drankow, Petersburg.
Echa ostatniej wojny: Sala posiedzeń sądu. Oskarżeni (X), stenografowie (XX), sędziowie (XXX) i oskarżyciel publiczny (XXXX).

Zmiana w berlińskiej ambasadzie Stanów Zjednoczonych.

(Do illustracyi na str. 8).

W gronie posłów zagranicznych, akredytowanych przy dworze berlińskim, zaszła świeżo zmiana przez ustąpienie z zajmowanego stanowiska ambasadora Stanów Zjednoczonych Charlemagne Towera. Następcą jego mianowany został Dawid Jayne Hill, który od 1905 roku pełnił obowiązki nadzwyczajnego posła i pełnomocnego ministra Stanów Zjednoczonych w Hadze.

Urodzony w roku 1850 w Plainfield, jako syn duchownego, po ukończeniu wywydziału prawniczego na uniwersytecie w Pensylwanii, udał się na dalsze studya do Berlina i Paryża, gdzie przebył trzy lata. Po powrocie do ojczyzny został mianowany prezydentem uniwersytetu w Lewisburgu, a następnie w Rochester, w roku jednak 1886 przybył znowu do Europy, by poświęcić się nauce prawa narodów. Powołany przez Mac Kinleya na podsekretarza stanu, pełnił ten urząd przez lat pięć, dopóki nie został wysłany w charakterze posła do Berna, a stąd przeniesiony do Hagi.

Już kilka lat temu miał nowy ambasador zająć swe obecne stanowisko, wtedy jednak sekretarz stanu Hay nie chciał rozłączać się ze swym dzielnym pomocnikiem, uważanym za autorytet w rzeczach prawa narodów. Mianowanie jego na



Fot. A. Drankow. Petersburg.

Echa ostatniej wojny: Sala posiedzeń sądu. Na lewo stenografowie przy stoliku, pośrodku oskarżeni wraz z obrońcami.

to stanowisko, ma zwłaszcza obecnie doniosłe znaczenie w Berlinie, gdzie pragną ostatecznie zawrzeć umowę handlową ze Stanami Zjednoczonymi. Gdy przed kilku laty książe Henryk Pruski bawił w Ameryce, Hill zastępował wówczas prezydenta i towarzyszył księciu w podróży. Obecny ambasador amerykański zna więc nietylko miejsce swego nowego urzędowania, ale i warunki i osoby, wśród których obracać się będzie.

Rodzina króla szwedzkiego.

Zmarły niedawno król szwedzki Oskar II., pozostawił prócz obecnego monarchy Szwecyi, Gustawa V, trzech jeszcze synów, a to Oskara Karola, który zrzygnował już przed laty z ewentualnego następstwa tronu i przyjął za zezwoleniem ojca tytuł księcia Bernadotte, księcia Karola Oskara, noszącego tytuł księcia Westgotlandu, ożenionego z Ingeborgą, księżniczką duńską, z którą ma dwie córki, Małgorzatę, liczącą 8 lat i Martę liczącą lat 6, oraz Eugeniusza, księcia Nerike, zamiłowanego artystę malarza, w tym też kierunku wysoce uzdolnionego.

Zmarły król Oskar II pochowany został wśród uroczystych ceremonii w kościele Riddarholmskim w Sztokholmie, gdzie królowie szwedzcy od czasów Gustawa II mają swe groby. Jest to wspaniały kościół, zbudowany w stylu gotyckim.

Gustaw V ty objął rządy bezpośrednio po skonie ojca, koronacya jego zaś odbędzie się dopiero w ciągu roku 1908. Będzie to dzień uroczysty w całem państwie szwedzkiem.



Rodzina króla szwedzkiego; Eugeniusz, książe Nerike.



Rodzina króla szwedzkiego: Karol Oskar, książę Westgotlandu, z dwoma córkami.

W czasie ceremonii koronacyjnej, zasiądzie nowy władca Szwecyi na wspaniałym srebrnym tronie, ustawionym w sali tronowej.

Następca tronu angielskiego.

Wizyta cesarza niemieckiego Wilhelma II w Anglii, dała sposobność następcy tronu Jerzemu, księciu Walii, wystąpienia publicznego w zastępstwie króla Edwarda VII i zwróciła na przyszłego monarchę Anglii uwagę świata.

Najstarszy syn króla Edwarda i jego małżonki królowej Aleksandry jest mężczyzną w sile wieku, liczy bowiem 42 lat. Od dawna już zajmuje szereg tytularnych lub rzeczywistych godności, z których najbardziej zaszczytnym jest niewątpliwie stopień doktora praw uniwersytetu londyńskiego.

Następca tronu angielskiego ożeniony jest od r. 1893 z księżniczką Wiktoryą v. Teck. W związku tym doczekał się książę Walii pięciorga dzieci.

Laureaci Nobla.

Doroczna uroczystość rozdania nagród z fundacyi Nobla, odbyła się w bieżącym roku z powodu śmierci króla Oskara II z miejszą niż w latach poprzednich wystawnością. Mimo to na zgromadzenie przybyło bardzo wiele osób z zagranicy i z kraju z prezydentem szwedzkich ministrów na czele, który poświęcił gorące wspomnienie zmarłemu królowi. Po odczycie profesora Nagerupu o rezultatach konferencyi haskiej, ogłoszono nazwiska tegorocznych laureatów. Każda z nagród wynosi w bieżącym roku sto dziewięćdziesiąt tysięcy pięćset dwadzieścia trzy franków.



Następca tronu angielskiego: Jerzy, książę Walii.

Nagrodę pokojową podzielono między Włocha Ernesta Teodora Monetę a Francuza Ludwika Rénaulta. Siedmdziesięcioczteroletni obecnie Ernest Moneta w młodości swej brał udział w rozruchach medyolańskich 1848 r., później wstąpił do oddziałów Garibaldiego, a wreszcie przeszedł do regularnej armii włoskiej. Po siedmiu jednak latach opuścił szeregi wojskowe, obejmując redakcyę dziennika „Secolo"; od tego czasu rozpoczął akcyę za powszechnym pokojem, służąc jej gorliwie do dzisiaj, pomimo sędziwego wieku.

Dr. Ludwik Rénault, profesor prawa w Sorbonie i doradca prawny ministeryum spraw zagranicznych, położył na tem stanowisku wielkie zasługi koło utrzymania pokoju powszechnego i rozszerzania tej idei w najszerszych sferach. Rénault należy do stałego międzynarodowego trybunału rozjemczego.

Drugi Francuz, dr. Karol Laveran, został odznaczony nagrodą w zakresie medycyny. Przebywał on dłuższy czas w Algierze, gdzie dokonał znakomitych studyów nad zgniłą gorączką. Przed kilku laty porzucił służbę wojskową i oddał się cały badaniom naukowym. W instytucie Pasteura poczynił znaczne odkrycia nad chorobą snu.

Resztę nagród podzielono między amerykanina Michelsona z Chicago, urodzonego w Poznańskiem, który otrzymał premię z zakresu fizyki, Buchnera z Berlina i Kiplinga z Indyi angielskich. Buchner profesor wyższej szkoły rolniczej w Berlinie, wywołał przed niedawnym czasem wielkie wrażenie w całym świecie naukowym, przez odkrycie pierwiastka fermentacyjnego w cukrze. Za wynalazek ten przyznano mu nagrodę z zakresu chemii. Nagrodę literacką zaś otrzymał Rudyard Kipling, którego dzieła literackie, tłómaczone na wszystkie języki, zjednały mu sławę wszechświatową.



Rodzina króla szwedzkiego: Królewski zamek w Sztokholmie, zbudowany w XVIII w.



Rodzina króla szwedzkiego: Kościół Riddarholmski w Sztokholmie.



Rodzina króla szwedzkiego: Srebrny tron królów szwedzkich.

Ognisko życia towarzyskiego w Krakowie.

Zasłużoną sławą cieszy się od lat bardzo wielu krakowska resursa urzędnicza. Założona jeszcze w r. 1858, rozwijała się stale, jednocząc w murach swych lokalności bardzo poważną część urzędników wszelkich dykasteryi; dziś liczba członków wynosi przeszło 630. Lokalności resursy urzędniczej mieszczą się od r. 1906 we wspaniałych ubikacyach hotelu Saskiego przy ulicy sw. Jana, a wyróżnia się wśród nich zarówno rozmiarami, jak doskonałem urządzeniem scenicznem wielka sala zabawowa.

Największą jednak zaletą tej organizacyi jest nadzwyczajnie ożywiony ruch towarzyski. Bo zarządy jej dążyły konsekwentnie do utrzymania jak największej harmonii wśród członków oraz do dostarczania im wszelkich możliwych rozrywek. Jest więc w resursie bardzo piękna biblioteka, licząca przeszło 2000 dzieł, jest czytelnia, zaopatrzona we wszystkie niemal dzienniki i czasopisma polskie, jest pokój osobny, gdzie starsze pokolenie uprawia preferansa, taroka lub innego wista, jest kółko dramatyczne, które dwa razy miesięcznie urządza doskonałe przedstawienie amatorskie, są zabawy taneczne, najbardziej ponętne dla płci pięknej i młodych fikalskich, — jest wreszcie bufet bogaty, i „we własnym zarządzie". Nie małą wartość ma — zwłaszcza w dzisiejszych czasach powszechnej drożyzny — dział spożywczy, dzięki, któremu członkowie resursy otrzymują w niektórych sklepach pewien rabat, a którego dochody bywają corocznie rozdzielane w odpowiednim stosunku między tych, którzy zeń korzystali.

Wobec tak dużych korzyści a stosunkowo niskich wkładek — nic dziwnego, że urzędnicy garną się do tej organizacyi towarzyskiej i każdego dnia napełniają gwarem sale resursy. Że gwarno tam, zrozumieć o tyle łatwiej, iż wieczory spędzają w niej nietylko panowie, ale i panie. O tyle też milej tam, aniżeli w innych tego rodzaju stowarzyszeniach, gdzie gromadzi się towarzystwo wyłącznie męskie. A mimo to panuje w resursie krakowskiej swoboda sympatyczna, każdy czuje się tam, jak u siebie w domu.

Dramatyczne kółko amatorskie, o którem wspominaliśmy wyżej, posiada w swem gronie sporo sił bardzo wyrobionych, to też przedstawienia, urządzane przez nie, cieszą się stałem i niezawodnem powodzeniem. Zasługa to w znacznej mierze kuratora kółka, st. inżyniera p. Winklera, który jest zarazem dekoratorem resursy, oraz reżysera p. Kobylańskiego.

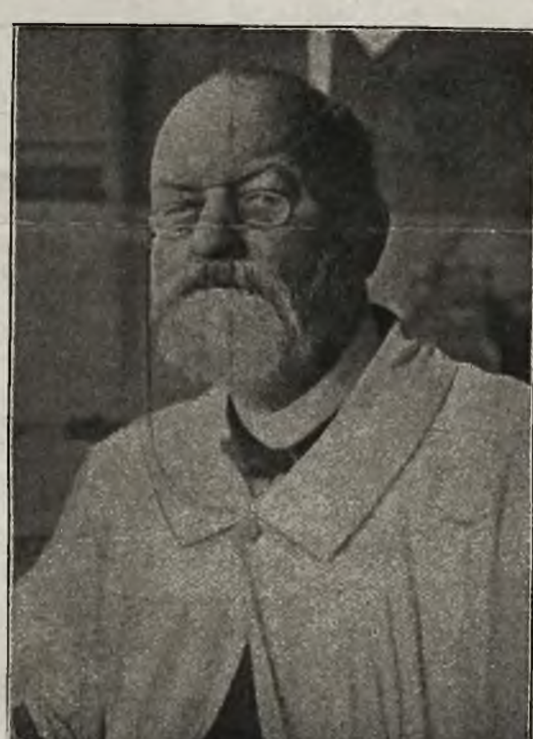
Na czele resursy stoją obecnie pp. rejent Klemensiewicz, jako prezes, dyrektor Grodyński i radca Raczyński, jako jego zastępcy, i p. Sulimirski, sekretarz.

Pod energicznem kierownictwem tego prezydyum rozwój resursy postępuje stale, gromadząc coraz to liczniejsze zastępy krakowskich urzędników, pragnących miłej, a nie drogiej rozrywki.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy zdjęcie fotograficzne, przedstawiające członków prezydyum resursy w otoczeniu dramatycznego Kółka amatorów.



Laureaci Nobla: Rudyard Kipling.



Laureaci Nobla: Dr. Karol Laveran.

NIEWINNIE POSĄDZONY.

Powieść według aktów sądowych. Tłómaczył Felicyan Dulski.

3 (Ciąg dalszy).

Wolfgang wyczekiwał przywitania, a bodaj przelotnego spojrzenia, ale Ellinor przystąpiła do hrabiego de Rivalier i podając mu rękę, przemówiła doń kilka słów uprzejmie, udając, że Wolfganga nawet nie spostrzegła. W pierwszej chwili pocieszył się Wolfgang tą myślą, że Ellinor spełniła tylko obowiązek grzeczności dla nowego gościa, lecz wkrótce zwróci się ku niemu i z nim także kilka słów zamieni, uzupełniając rozmowę bodaj jednem z tych strzelistych spojrzeń, które na niego w bibliotece rzuciła.

Zawiódł się. Ellinor ani nie przemówiła, ani nie spojrzała, uśmiechała się tylko do hrabiego coraz poufalej, wreszcie ujęła go pod ramię i zasiadła z nim przy stole. Wolfgang skamieniał i tak dalece się zapomniał, że stał na sali osłupiały, nie siadając do stołu. Z odrętwienia ocucił go rubaszny głos Dossenaua.

— A siadajże doktorze do stołu, bo wszyscy patrzą na ciebie z podziwem. Doskonale mi się udało, bo wyznaczono panu miejsce obok mnie.

To rzekłszy — ujął Wolfganga pod rękę i posadził przy sobie.

— Muszę w tej chwili udawać lekarza — szepnął Dossenau — bo widocznie trzeba cię leczyć panie doktorze. To nie zdrowo przepełniać sobie głowę i serce smutnemi wrażeniami, gdy się ma zjeść dobry obiad.

Wolfganga drażniły słowa sąsiada, a jeszcze bardziej rubaszność sarkastyczna. Nic nie odpowiedział, tylko spoglądał w stronę Ellinory. Siedziała z hrabią, prawie naprzeciw niego i mogła była, bez zwracania na siebie uwagi, bodaj raz spojrzeć na doktora. Ale i teraz udawała, że go nie widzi i rozmawiała z hrabią bez przerwy, z widocznem przymileniem, a nawet ze znaczącą poufałością. Zrazu rozmawiali głośno o rzeczach obojętnych, o teatrze, o koncertach, o życiu wielkomiejskiem, aż zwolna zmieniać się zaczął przedmiot rozmowy, bo już nie mówili, ale szeptali do siebie.

Wolfgang męczył się, siedział przy stole jak na torturach i zbierał wszystkie siły, aby nie okazać po sobie, co się w nim dzieje. Chociaż rozmowa z Dossenauem była dlań dotąd czemś uciążliwem i nie miłem, teraz wydała mu się bardzo pożądaną i pragnął rozproszyć nią te męczarnie, których doznawał. Sam więc rozpoczął rozmowę:

— Czy pan zna hr. de Rivalier?

— Bardzo mało i bardzo dobrze. Mało — bo nie miewałem z nim żadnej styczności, ale znam go też bardzo dobrze z tego, co widzę i co o nim słyszę. Piękny mężczyzna, co? Ej, nie łatwo taki drugi się znajdzie. Niema się czemu dziwić, że kobiety lgną do niego, że je bałamuci tuzinami. Przy tem elegancki człowiek, a umie żyć i życie sobie uprzyjemniać.

— Pan Mühldorfer przedstawia go jako serdecznego przyjaciela swojej rodziny.

— Tak, tak - serdeczny przyjaciel, ale w przyszłości, o co Mühldorfer bardzo się stara. Dotychczas hr. de Rivalier nie obracał się w towarzystwach kolejowych królów i przemysłowców w rodzaju Mühldorfera.

— Spostrzegam, że pan wciąż lekceważąco wyraża się o właścicielu tego zamku, a przecież uważał pan za właściwe przyjąć u niego gościnę.

— Bardzo uczciwie pan pytasz; to mi się nawet podoba i dlatego powiem panu zupełnie szczerze. Gościem Mühldorfera nie byłbym nigdy, a że tu jestem, to tylko dlatego, że mnie interes zmusza. Miałem załatwić sprawę pieniężną z Mühldorferem i po to tu przybyłem, a za to, co pan gościną nazywasz, zapłaciłem drogo i jeszcze zapłacę. Nie rozumiem wcale, dlaczego to pana drażni, gdy mówię o ludziach szczerze i otwarcie, aby pana powstrzymać od złudzeń. Czy pan sądzi, że Mühldorfer z popędów szlachetnej gościnności zastawia tu stoły? Panie doktorze! porzuć pan tę uczciwą naiwność. Tych wszystkich, których pan tu widzisz — ściągnął do siebie Mühldorfer po to, aby uczynić z nich albo wspólników, albo ofiary swojego przemysłu.

— Czy hr. de Rivalier ma być wspólnikiem, czy nie?

— Zdaje mi się, że będzie i jednem i drugiem. Zależy od tego, kto odniesie zwycięstwo: czy przebiegły dyplomata, czy bezczelny krętacz. Zdaje mi się, że tu nikt nie zwycięży i że obaj wzajemnie się oszukają.

— Za mało znam stosunki, ażebym mógł zrozumieć to, co pan mówi.

— Pomogę panu, pomogę, nawet pomódz muszę, żebyś pan nie sądził, że jestem starym paplą, albo co gorsze: oszczercą. Słuchajno kochany doktorze. Mühldorfer włożył w przedsiębiorstwo ogromne kapitały, ale przeważnie pożyczone. Kredytem można operować nawet dość długo, ale nie w nieskończoność. Kredyt Mühldorfera zupełnie już wyczerpany i potrzeba mu koniecznie kilka milionów gotówki; ażeby je uzyskać, ubiega się o budowę nowej sieci dróg żelaznych we Francyi. Współzawodników ma całe legiony; ubiegają się o to całe konsorcya i potężni kapitaliści. trzeba więc protekcyi i protektorów. Hr. de Rivalier może być takim protektorem poważnym, bo jest synem ministra komunikacyi, od którego właściwie wszystko zależy.

— Więc p. Mühldorfer chce sobie pozyskać protekcyę hr. de Rivalier?

— Nie panie, on ją chce kupić.

— Panie Dossenau, to posądzenie jest nikczemne.

— Nie tak głośno, młodzieniaszku. Dopóki nikt nie słyszy, mogę i ja nie dosłyszeć pańskiej zniewagi. Gdybyś pan mówił za głośno, nie mógłbym dozwolić, aby niedoświadczony młodzieniec znieważał moje siwe włosy. Żeby pana nie oślepiły księżycowe nocy nad wodospadem, tobyś umiał na wszystko patrzeć i wszystko zobaczyć. Hr. de Rivalier pochodzi z rodziny bardzo starożytnej i bardzo bogatej. Było to jego nieszczęściem, że miał bezdzietnego stryja, który mu zapisał kilka milionów. Ojciec, minister komunikacyi, nie znał widocznie swojego syna, skoro mu zostawił swobodę zarządzania odziedziczonym majątkiem. Szczęśliwy spadkobierca uwinął się ze spadkiem w ciągu lat czterech, wszystko stracił, a w ciągu następnych lat dwóch narobił tyle długów, że gdyby je ojciec jego zapłacił, skazałby siebie i rodzinę niemal na nędzę. Wiec powiedziano mu, aby się ratował jak może. W takich razach bywa jedyny ratunek dla człowieka pięknego, o nazwisku arystokratycznem: sprzedać się, czyli szukać żony z milionami. I oto hr. de Rivalier przybył tu po miliony Mühldorfera, no a w dodatku także i po jego córkę. Mühldorfer spodziewa się zapłacić za protekcyę córką i posagiem, a hr. de Rivalier chce sobie okupić zabezpieczenie swej towarzyskiej pozycyi protekcyą użyczoną Mühldorferowi i poślubieniem zbyt wesołej córki ordynarnego dorobkiewicza.

Wolfgangowi krew uderzyła do głowy, zacisnął zęby i syknął:

— Dość tego! Możesz pan złośliwie wyrażać się o całym świecie, ale zabraniam panu wyrażać się lekceważąco o pannie Ellinor.

Wolfgang tak był oburzony, że już chciał zerwać się z miejsca i odejść od stołu, ale na szczęście powstali wszyscy i rozchodzić się zaczęli. Wolfgang postanowił rozmówić się jaknajprędzej z Ellinorą, wyjaśnić całą sprawę, będąc pewnym, że wszystkie opowiadania Dossenaua są tylko niegodziwem oszczerstwem. Starał się zbliżyć do Ellinory, ale docisnąć się nie mógł, bo nietylko hrabia de Rivalier, ale cały rój wielbicieli, nie odstępowali od jej boku. Chrząkał, dawał jakieś znaki, ale Ellinor niczego nie słyszała, ani nie widziała. Wolfgang postanowił wytrwać.

IV.

I wytrwał! Jak cień poruszał się koło grupy, która Ellinorę otaczała, a zawsze starał się stawać naprzeciw niej i uporczywie się w nią wpatrywał. Widziała to Ellinor, lecz uporczywie udawała, że nie widzi; zaczęło ją to mocno gniewać, niecierpliwić, traciła swobodę, stawała się roztargnioną. Mimo tego postanowiła najzupełniej ignorować doktora. Byłoby się to może udało, ale inni zaczęli zwracać uwagę na zachowanie się Wolfganga, a znany z dowcipu inżynier, nie żałował uszczypliwych dowcipów, które po części i Ellinorę dotykały. Zaczęto się uśmiechać coraz wyraźniej, nawet coraz głośniej. Ellinor szepnęła kilka słów hrabiemu i wybiegła do zimowego ogrodu, który przytykał do sali jadalnej. Wolfgang zniknął również i w zimowym ogrodzie szukał Ellinory. Stała pod jedną z palm, jakby czekała na niego; zobaczywszy ją Wolfgang — przybiegł, wyciąga ręce, jakby ją chciał przytulić do piersi, ale Ellinor wyprostowana, dumna, odtrąca go od siebie i zmierzywszy surowem wejrzeniem, powiedziała szorstko:

— Jak pan śmiesz kompromitować mnie wobec całego towarzystwa. To niegodziwie, to nikczemnie.

Doktor oniemiał.

— To jedno może pana po części tłómaczyć, że nie znasz zwyczajów wyższego świata i nie pojmujesz, że obowiązki towarzyskie nakazywały mi tak postępować, a nie inaczej.

Dotknięty do żywego ocknął się Dolmar z odrętwienia i miejsce zazdrości zajęła teraz uraza. To też spokojnie, ale stanowczo odpowiedział:

— Sądziłem, że wczoraj upoważniłaś mnie pani do tego, abym dziś z podziwem przypatrywał się jej postępowaniu z hr. de Rivalier. Nie chciałem się oburzać, wolałem się dziwić. Zdaje mi się, że dałaś mi pani prawo do tego, abym żądał wyjaśnienia. Zwyczaje towarzyskie znam dobrze, ale w żadnej sferze towarzyskiej nie mogłoby takie postępowanie, jak pani, pozostać obojętnem dla tego, który czuje jeszcze na ustach gorące pocałunki osoby, zalecającej się nowemu wybrańcowi.

Stanowczość i powaga Wolfganga przestraszyły Ellinorę. Widzi, że ten człowiek gotów upominać się o miłość, albo ją skompromitować pogardą. Lękała się skandalu. Trzeba Wolfganga ułagodzić i rozbroić. Więc zdobyła się na czarodziejski uśmiech rusałki i z tą samą zalotnością i figlarnością, co nad wodospadem, przemówiła do doktora, grożąc mu palcem kokieteryjnie:

— Brzydki zazdrośniku. Jak mogłeś nastrajać się na ton tak tragiczny. Czy nie milej ci spotykać się z rusałką u wodospadu, a Ellinorę pozostawić przez dzień cały obowiązkom zabawiania gości? Możebyś wolał, aby rusałka innego poszukała sobie śmiertelnika, a w zamian za to ciebie rozmową w salonie zabawiała?

Wolfgang czuł przymus w tych słowach i w tej zalotności, więc broni nie składał.

— Miłość nie jest dla mnie igraszką, pojmuję ją poważnie, jak ją uczciwi ludzie pojmować zwykli. Dlatego proszę o stanowczą odpowiedź jak sobie mam tłomaczyć dzień wczorajszy. Jeżeli to prawda, coś mi wczoraj mówiła pocałunkami, to powtórz je teraz; powtórz je, a zapomnę o wszystkiem, wszystko przebaczę i będę znowu szczęśliwy.

I wyciągnął ku niej ręce, chciał ją przycisnąć do siebie, ale ona zaśmiała się szyderczo:

— Ależ tu niema rusałki, tu nie grota czarodziejska. W tej chwili jest tu Ellinor Mühldorfer, która żąda dla siebie należnego uszanowania. Może być, że jeszcze kiedyś rusałka się zjawi, jeżeli śmiertelnik będzie grzeczny i roztropny. Może nawet prędzej, niż się spodziewasz, nieznośny zazdrośniku.

— Racz pani uwolnić mnie od żartów, rozmawiać ze mną szczerze i uczciwie.

Powaga Wolfganga, stanowczość, a szczególniej ostatnie słowa, z naciskiem wypowiedziane, rozdrażniły Ellinorę, więc z gniewem i niechęcią zawołała:

— Dosyć już tej nudnej rozmowy. Zakazuję panu zajmować się nadal moją osobą!

Spojrzała gniewnie i wybiegła. Wolfgang panował do tej chwili nad sobą, ale teraz, gdy odbiegła, gdy mógł ją stracić na zawsze, owładnęła nim rozbudzona wczoraj namiętność, biegnie za Ellinorą, chce ją dopędzić. Ona ucieka szybko, pomiędzy krzewy ogrodu zimowego, dopada już do drzwi, ale tuż za nią Wolfgang zawołał:

— Ellinor! — i chciał ją przytrzymać. Ona krzyknęła:

— Pomocy! szaleniec!

W tej chwili okazała postać hr. de Rivalier wyrosła jakby z pod ziemi.

— Szaleniec! — powtórzyła Ellinor, wskazując na Wolfganga.

Hrabia chwyta doktora za ramię, ten go odtrąca: odtrącony hrabia uderza doktora tak silnie, że zachwiał się i byłby upadł niezawodnie, gdyby go nie były podtrzymały silne ręce Dossenaua, który niespodzianie nadszedł w tej chwili.

— Puść mnie pan — zawołał Wolfgang, odzyskawszy po chwili przytomność.

— Uspokójże się doktorze, opamiętaj — mówił spokojnie Dossenau, ujawszy go pod ramię.

— Niech mnie pan nie rozdrażnia; w tej chwili gotów jestem nawet pana znieważyć, jeżeli natychmiast nie usuniesz mi się z oczu.

— Usunę się panu i zostawię cię w spokoju, gdy już odzyskasz zupełnie przytomność umysłu.

Mimo perswazyi Wolfgang wyrywał się i byłby rzeczywiście uniósł się gwałtownie, gdyby w tej chwili z terasy zamkowej nie był zabrzmiał srebrny głos Ellinory; Wolfgang spojrzał w tę stronę i dostrzegł, jak z wielkiem przymileniem opierała Ellinor dłoń na ramieniu hrabiego i usłyszał, jak dziękowała mu czule za uwolnienie od pościgu szaleńca.

— Puść mnie pan teraz, panie Dossenau, już odzyskałem zupełnie przytomność — rzekł Wolfgang spokojnie.

— No, chwała Bogu, że już koniec tych złudzeń! Wiedziałem dobrze, że kokieterya tej wietrznicy opęta pana i wyrządzi ci niemało przykrości. Wiedziałem o tem, bo znam to stworzenie nawskróś, jak i całą rodzinę tego króla kolejowego.

— Panie! mnie ktoś uderzył! Zdaje mi się, że to hr. de Rivalier.

— Tak. Francuz rzucił się na pana w chwili, gdyś już miał ręką dosięgnąć ramienia Ellinory i uderzył cię pięścią w głowę. Niestety o kilka sekund przybyłem za późno i uderzenia powstrzymać już nie zdołałem.

— Ja muszę załatwić rachunek z tym Francuzem. Czy pan byłby łaskaw użyczyć mi w tem pomocy?

— Pomówimy o tem, nie usuwam się od niczego, ale przedewszystkiem musisz pan załatwić rachunek ze samym sobą i zrozumieć wreszcie, że pański pobyt w tym zamku jest nadal wprost niemożliwy.

— Odjadę jutro.

— Dokąd?

— Do miasta — skąd przybyłem.

— Pozwólże pan powtórzyć sobie jeszcze moje serdeczne zaproszenie. Pan jesteś chory, panu potrzeba otrząść się z tych wrażeń i wzruszeń. Ja ci będę lekarzem, a cisza leśna koło mego zamku, będzie lekarstwem. Może się tam znajdzie jeszcze jakieś inne, skuteczniejsze!

— W tej chwili mam takie usposobienie, że chciałbym się znaleść sam jeden, gdzieś daleko od świata i ludzi.

— Wszystko to dobrze rozumiem i dlatego właśnie jeszcze raz zapraszam pana do siebie, bo u mnie spokój znajdziesz. Chodźmy stąd teraz, odprowadzę pana do pokoju, tam sobie jeszcze pomówimy.

Doktor popadł w apatyę, będącą naturalnem następstwem gwałtownych wzruszeń i uniesień i bez oporu dał się do mieszkania zaprowadzić. Dossenau posadził go w fotelu, zapalił fajkę i zaczął dość obojętnie:

— W pańskim wieku przytrafia się to nie jednemu. Nie długo będziesz się pan śmiał z tego. Nie taki dyabeł straszny — jak go malują, nie taka też to straszna ta przygoda pańska.

— Ale zniewaga zniewagą i tej nie puszczę płazem. Przyrzekł mi pan pomoc, więc nie mając tu nikogo bliższego, w pańskie ręce oddaję mój honor.

— Dobrze, dobrze; ale pod jednym warunkiem, mianowicie, że mi pan przyrzeknie pojechać do mnie. Ja już moją sprawę załatwiłem, więc jutro wyjeżdżam.

— Zgadzam się i przyjmuję pańską gościnność, ale proszę wpierw uczynić wszystko, aby sprawa honorowa przed naszym wyjazdem załatwioną została.

— Teraz już późno o tem mówić, chodźmy spać. Jutro rano całą rzecz ułożymy. No, dobranoc ci kochany doktorze, śpij spokojnie, nie myśl o tej wietrznicy, a jutro załatwimy resztę.

Uściskał serdecznie Wolfganga i wyszedł.

Doktor do późnej nocy siedział w apatyi, bezsenny, zgnębiony. Dopiero na ranem zasnął spokojnie.

V.

Uderzyła godzina siódma rano, doktor spał jeszcze twardo. Do drzwi zapukano raz, drugi i to dosyć natarczywie, aż doktor zerwał się na równe nogi, z twardego snu nagle zbudzony i pospieszył ku drzwiom. Otworzył je prędko i spostrzegł lokaja z listem.

— Co się stało? — zapytał niecierpliwie Wolfgang, na pół rozespany.

Służący oddał list w milczeniu i szybko się oddalił. Wybiwszy się już zupełnie ze snu, zaczął sobie Wolfgang przypominać wydarzenia wczorajsze i zdawało mu się, że to wszystko sen jakiś dręczący.

Gdy mu się już wszystko z całą jaskrawością przypomniało, ogarnęła go wściekłość prawdziwa na świat, na ludzi, na samego siebie. Co ten list znaczy? Poznał pismo Mühldorfera, rozdziera kopertę i czyta:

„Wielmożny Panie Doktorze! Dowiedziałem się w tej chwili od mojej córki Ellinory, że pan wczorajszego wieczoru zachowałeś się wobec niej w sposób dziwny i niezwykły, poczytuję sobie więc za obowiązek natychmiast pana uwiadomić, że nie będę wcale sprzeciwiał się temu, jeżeli Pan mój zamek natychmiast opuścić zechce. Służba moja otrzymała rozkaz, żeby bezzwłocznie wykonywała pańskie zlecenia, tyczące wyjazdu do najbliższej stacyi drogi żelaznej. Nie potrzebuję zapewne dodawać, że będzie mi bardzo miło, jeżeli pan uniknąć zechcesz przed swoim odjazdem, wszelkiej styczności zarówno z moją rodziną, jak i z moimi gośćmi. Uprzedzam też Pana, że daremnie byś się trudził pisaniem jakichkolwiek wyjaśnień pod moim adresem, bo postanowiłem żadnych nie



Biegnie za Ellinorą, chce ją dopędzić. Ona ucieka szybko.

przyjmować. Za rozpoczęte trudy biblioteczne załączam kwartalne honoraryum. Pochlebiam sobie, że pan wyrażoną tu prośbę uzna za zupełnie usprawiedliwioną i dla Pana obowiązującą. Niech mi wolno będzie przytem w imieniu hr. de Rivalier wyrazić ubolewanie, że bez żadnego zamiaru obraził Pana wczoraj. Nie zrozumiał należycie sytuacyi, zdawało mu się, że działa we własnej obronie i dlatego postąpił tak, jak tego wcale nie pragnął. Prosił mnie, bym w jego imieniu wyraził Panu ubolewanie i szczere przeproszenie. Jestem pewien, że ta uprzejmość hr. de Rivalier, wychowanego w zasadach honoru, będzie dla Pana zupełnie dostateczną rękojmią, że honor pański nic nie ucierpiał i że Pan nie potrzebuje już żadnej innej akcyi podejmować dla zadowolenia ucznć honorowych. Zapewniam Pana o mojej życzliwości, gotów zawsze do użyczenia Panu wszelkiej pomocy i protekcyi — Gustaw Mühldorfer“.

Wolfgang zaśmiał się szyderczo, krew trysła mu do głowy, pięść zacisnął, zmiął list i pieniądze, rzucił na podłogę i podeptał. Chciał się natychmiast zabrać do układania swych rzeczy, ale uczuł takie osłabienie, że musiał spocząć. Ale ten spoczynek był nową męczarnią, bo ogarniały go ponure myśli, gwałtowne uczucia. Wszystko się w nim rozstrajało, kłębiło i opanować się nie mógł. Lekceważący i pogardliwy ton listu był obrazą nie mniej dotkliwą, niż wczorajsze uderzenie hrabiego. Trzeba żądać zadośćuczynienia. Dwukrotnie znieważony, nie odjedzie przecież, nie pomściwszy zniewagi.

Zdawało mu się, że się udusi. Zrywa się, biegnie do okna, otwiera je na oścież, ażeby orzeźwić się, ochłonąć. Postał chwilę w otwartem oknie; powiew świeżego powietrza ochłodził mu rozpaloną głowę, ostudził wzruszenia. Odwrócił się od okna, żeby zająć się ułożeniem rzeczy, w tem posłyszał jakiś szelest za plecyma, jakby coś lekkiego spadło na podłogę. Obraca się i spostrzega różowy liścik, widocznie wrzucony przez okno. Domyślił się łatwo, że to Ellinor ukryta gdzieś za drzewami, czatowała rychło okno otworzy, aby list ten wrzucić. Krew mu uderzyła do głowy. W pierwszej chwili uczuł jakąś pogardę i nienawiść dla tej rusałki i chciał ten list deptać i odtrącić nogą, ale urok owego wieczoru nad wodospadem jeszcze widać nie przeminął, bo w lot zmienia się pierwotne uczucie pogardy i nienawiści, w jakiś niepokój, a potem w dziwną ciekawość.

A może ona nie winna? — zadawał sobie pytania. Trzeba być zawsze sprawiedliwym i nie potępiać pod pierwszem wrażeniem. Może w tym liście usprawiedliwia się, tłomaczy, wyjaśnia? Więc podniósł list i schował go prędko do kieszeni. Zanim zebrał się na odwagę, żeby go odczytać, rozwarły się drzwi i wszedł Dossenau.

— Dzień dobry ci kochany sąsiedzie. Sądzę, że usłuchałeś mojej rady i spałeś spokojnie. Oho! pieniądze, list na podłodze? co to znaczy, jeżeli spytać wolno?

Wolfgang podniósł list z podłogi i wręczył go sąsiadowi. Dossenau przeczytał i obojętnie rzucił na podłogę.

— Cóż pan na to? — zapytał Wolfgang.

— A nic.

— Wszakżeż to obraza dla mnie dotkliwa.

— Nie, kochany doktorze, to nie jest obraza pańskiej osoby, tylko zwykłe krętactwo tego dorobkiewicza. Dziwiłbym się bardzo, gdybyś pan to sobie za obrazę poczytywał. Nawet według wszelkich form i zwyczajów, praktykowanych w takich sprawach, nie możnaby za ten list wyzwać Mühldorfera.

— Ale Francuzowi darować nie mogę.

— E, najlepiej uczynisz zapominając o wszystkiem. Zresztą przeprosił, uznał winę.

— Tych kilka frazesów nie dla mnie żadnem zadosyćuczynieniem.

— Być może. Dowodzą one atoli, że hr. de Rivalier pojedynku by nie przyjął, usuwając się od niego pod jakim takim błahym pozorem.

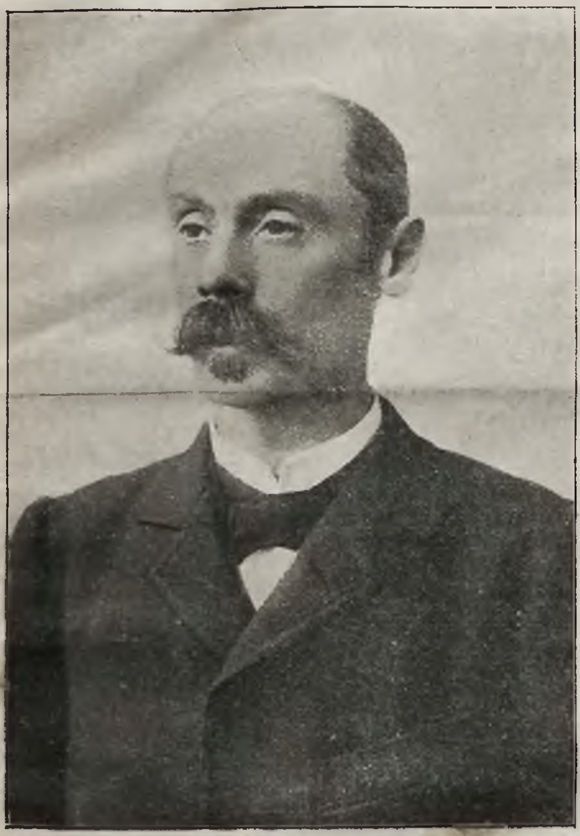
— Możnaby go zmusić do tego.

— Zapewne — mówił Dossnau dobitnie, z lekkim, ironicznym uśmiechem. Możnaby przedłożyć całą sprawę w ambasadzie francuskiej. Zemsta byłaby znakomita. Hrabia zostałby skompromitowany i zapewne zniewolony do usunięcia się ze swego stanowiska; kokieterya i obłuda tej wietrznicy wyszłyby na jaw, a w dodatku król kolejowy straciłby protektora i wszystkie jego plany: wzbogacenia się budową kolei we Francyi, poszłyby w niwecz. No — zemsta prawdziwa, ale — czy godna z twojem usposobieniem? Ot, pluń na to ... nizcy, aby cię obrazić zdołali. Na to wszystko najlepszą odpowiedzią pogardliwe milczenie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Skon zasłużonego dziennikarza.

Dziennikarstwo lwowskie, a z niem całe dziennikarstwo polskie straciło ubiegłego tygodnia jednego z najlepszych swoich druhów, zmarł bo-



Skon zasłużonego dziennikarza: Ś. p. Mieczysław Henryk Schmitt, redaktor »Dziennika polskiego« i b. dyrektor teatru hr. Skarbka we Lwowie.

wiem po długoletniej chorobie redaktor i współwłaściciel *Dziennika polskiego*, ś. p. Mieczysław Henryk Schmitt, przeżywszy lat zaledwie 56.

Urodzony we Lwowie jako syn znanego polskiego historyka Henryka Schmitta, po ukończeniu studyów wstąpił do służby rachunkowej przy Wydziale krajowym. Czując jednak szczególny pociąg pracy do literackiej, wyrwał się ze świata suchych cyfr i liczb i próbował sił swoich jako dramaturg i krytyk teatralny.

W r. 1885 zupełnie porzucił zajęcie biurowe i wstąpił do redakcyi *Kuryera lwowskiego*, a w dwa lata później przeniósł się do *Dziennika polskiego*, którego współwłaścicielem i współredaktorem był do ostatniej chwili życia swego.

Chcąc przez bezpośredni wpływ na kierownictwo teatru przyczynić się do podniesienia sceny polskiej, objął w r. 1891 dyrekcyę teatru hr. Skarbka we Lwowie, z której już po trzech latach mozolnej pracy ustąpił, stargawszy resztę i tak już nadwątlonych sił.

Od dziesięciu przeszło lat przykuty niemocą fizyczną do łoża, nie brał wprawdzie udziału w życiu publicznem, pracował jednak bezustannie, niemal do ostatniej chwili życia swego, dla dobra gorąco przez się ukochanego zawodu, zachowując do ostatka stanowisko redaktora.

Pogrzeb jego odbył się w obecności całej lwowskiej drużyny dziennikarskiej i artystycznej, a zwłoki zasłużonego publicysty żegnał rzewnemi słowy redaktor Krechowiecki.

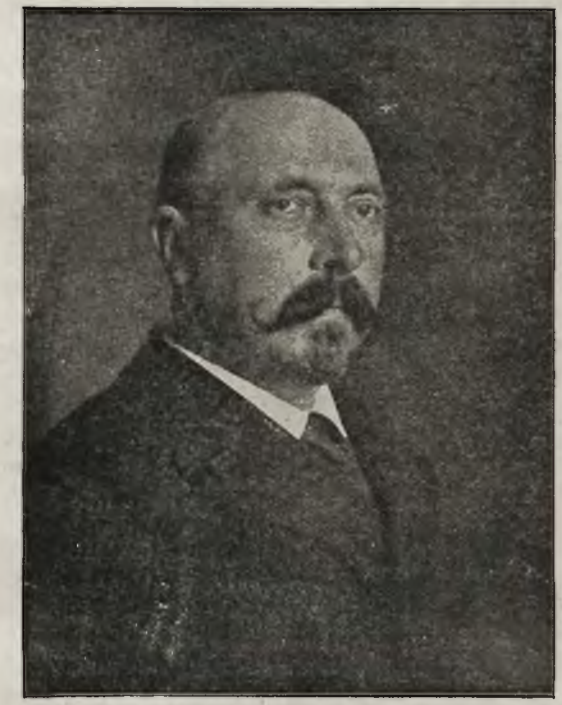
Obrady nauczycielstwa.

W pięciu rejonach, na jakie Galicya pod względem szkolnictwa ludowego jest podzielona, toczyły się równocześnie obrady pięciu konferencyi nauczycielskich. Konferencye takie odbyć się były powinny w myśl przepisów ustawy państwowej już w r. 1905; z przyczyn jednak ważnych a od Rady szkolnej krajowej niezależnych, nastąpiło opóźnienie o dwa lata.

Od czasu ostatnich konferencyi, krajowych w r. 1899 odbytych, szkolnictwo nasze ludowe poczyniło na wszystkich polach bardzo znaczne postępy. Szkół publicznych jest w kraju obecnie prawie 5000, a więc blisko o tysiąc więcej, niż w czasie ostatnich konferencyi; w tym samym stosunku wzrosła i ilość dzieci, uczęszczających do szkół i ilość nauczycieli.

W miarę rozwoju i rozrostu szkolnictwa, rosną też i jego potrzeby, rosną postulaty i wymagania społeczeństwa. To też i tematu do obrad dla nauczycielstwa gromadzi się coraz więcej, tak iż w trzech dniach, na obrady konferencyi przeznaczonych, zaledwie można było materyał ten załatwić.

Konferencya krakowska rozpoczęła się w poniedziałek rano nabożeństwem w kościele OO. Dominikanów, poczem uczestnicy zgromadzili się w sali gimnastycznej szkoły im. Franciszka Józefa przy ul. Dietlowskiej. Przybyli reprezentanci 14 powiatów, a to inspektorowie okręgowi, dyrektorowie i dyrektorki szkół, oraz reprezentanci nauczycielstwa, wybrani na konferencyach okręgowych. Przewodnictwo objął inspektor szkolny, radca Mieczysław Zaleski, który zagajając obrady powitał uczestników konferencyi oraz przybyłych gości, a to delegata namiestnika p. Fedorowicza, ks. prałata Bielenina, członków Rady szkolnej kraj., prof. dr. Sternbacha i radcę Sołtysika, oraz delegata rady miasta Krakowa do rady szkolnej kraj., redaktora Konopińskiego. Następnie powołał na zastępcę przewodniczącego dyrektora Vimpellera, a na sekretarzy pp. Ciska i Szybowskiego.



Nowy prezes Związku szwajcarskiego: Dr. Ernest Brenner.

Przez pełne trzy dni trwały obrady konferencyi, bądź w sekcyach, których było kilka, bądź na pełnych posiedzeniach. Owocem tych obrad jest też cały szereg rezolucyi i uchwał, mających sprawę szkolnictwa naszego kraju popchnąć znowu o krok naprzód. W ostatnim dniu konferencyi brał udział w obradach i radca dworu dr. Ignacy Dembowski.



Aparatem redakc. W. Lis.

Obrady nauczycielstwa · Uczestnicy krajowej konferencyi w Krakowie. Radca dworu I. Dembowski (1); inspektor kraj. radca M. Zaleski (2); dyrektor gimn. radca T. Sołtysik (3).

Kronika tygodniowa.

Wpadł mi w ręce numer pisma humorystycznego, wydawanego w r. 1886 w Krakowie. Na czele tego nru znalazłem wiersz, zaczynający się od słów:

Ja nie boję się Bismarcka
Ni germańskich żadnych złości,
Lecz obawiam się wad naszych
Ich ilości i jakości.
Bismarck ziemię chcę zagrabić —
Chęć daleką jest od czynu —
Trzymaj ziemię twoją twardo,
A twa przyszłość, Polski synu!

A dalej humorysta, a raczej satyryk, gromi różne błędy i wady nasze, boi się „naszych kłótni“, bo „kędy spojrzeć, wrzawa ciągła — po niezgody płyniem fali — a rej wiodą w każdej sprawie — ludzie pyszni lub zuchwali. Maciek Bartka wszędzie gnębi, Jan częstuje ich kułakiem, Józef Kacpra zwie oszustem, Łukasz Wojtka zwie łajdakiem. Mniejsza o to, że rzecz padnie, by się komuś dobrze stało...“ Dostaje się „zuchom do jadła“, puszczającym grosz na szampana i divy cyrkowe, dostaje się i damom, bo choć autor co zwrotka powtarza, że „nie boi się Bismarcka“, ale za to „obawia się fortepianów i francuskiej paplaniny, jakie bowiem będą matki, takie będą nasze syny... Dla dozoru polskich dzieci, bony z Francyi, Niemiec jadą — a jejmoście wciąż się stroją, jakby żołnierz przed paradą...“

Wiersz ten, napisany w chwili, kiedy nieświętej pamięci Bismarck wniósł projekt komisyi kolonizacyjnej, możnaby z małemi zmianami i dziś powtórzyć, zatytułowawszy go: „Ja nie boję się Bülowa“ choć jest wielka różnica, nie u nas, ale w środkach przez państwo „miłości Bożej“ przeciw nam skierowanych. Bismarck był...... (zostawiam epitet do woli Czytelników — przeciw żadnemu nie zaoponuję), ale uczniowie przeszli mistrza. Ktoby się mógł spodziewać, że przyjdzie chwila, w której będziemy mówili o żelaznym księciu, jako o „stosunkowo“ uczciwszym pruskim mężu stanu, niż są dzisiejsi. Boć kolonizacya a wywłaszczenie to wielka różnica, tak jak jest różnica między kradzieżą kieszonkową a kradzieżą z włamaniem.

Ale nie idzie mi o wymyślanie prusactwu. Mała to satysfakcya wołać do tego, co ci zegarek lub pieniądze zabiera: ty złodzieju! — jeżeli kradzieży przeszkodzić nie zdołasz. Zresztą złodziej się nawet obrazić nie może, że go tytułujesz odpowiednio do zawodu, do sposobu życia, jaki sobie obrał z własnej nieprzymuszonej woli; — jeżeli się nie obraża szewc, gdy mu mówimy: panie majstrze, ani lekarz, gdy mu mówimy: panie doktorze, to i złodziej nie może wymagać, aby mu mówić: panie dobrodzieju. Jeżeli zaś idzie o wymyślanie gruntowne, posiadające wartość dokumentu, hańbiącego wyroku, to spodziewam się, że zdobędą się na nie ci, których Sienkiewicz wezwał do ankiety w sprawie gwałtów pruskich.

Więc nie o wymyślanie mi chodzi, ale o to, że ów wiersz przypomina mi, iż w owym czasie powstało pierwszy raz hasło: precz z towarami pruskimi! I nawet w tem samem piśmie humorystycznem znajduję bolesne żarty z naszego słomianego ognia. A druga edycya tego hasła wyszła w rok później, kiedy Prusak resztki polskiego języka wyrzucał ze szkół ludowych. Na trzecią edycyę zdobyliśmy się podczas uchwalenia nowych 200 milionów na cele kolonizacyi. Czwarta edycya nosi nazwę wrześnieńskiej. Dzisiejszy bojkot zatem jest już piątem z rzędu wydaniem. Tamte cztery jednak, jak się okazało, były to jednodniówki, efemerydy, po których nie zostało śladu. Może historyk naszych czasów kiedyś je wygrzebie na dowód stałości naszych przysiąg. Bo za każdym razem wołaliśmy: przyrzeczemy sobie, że Prusakom grosza nie damy! I co prawda grosza nie dawaliśmy, ale guldeny i ruble.

Otóż obecnie za kilka dni upłynie już miesiąc od chwili, kiedy po raz piąty „jak jeden mąż“ postanowiliśmy bojkotować przemysł i handel niemiecki. Z zaciekawieniem śledzę rezultat krakowskiego uderzenia w „czynów stal“ i ażeby lepiej go widzieć kupiłem sobie nawet szkła powiększające — ale dotychczas niewiele mam do zanotowania. Jakaś fabryka ogłosiła, że zrywa stosunki z firmami pruskiemi, inna poleca swoją pastę do obuwia zamiast „czernidła“ berlińskiego, zkąd wreszcie oznajmia światu, że nie przyjął nadesłanego mu nożyka pruskiego wyrobu. Więcej sobie nie przypominam. *Summa sumarum* rzecz się przedstawia tak: zerwanie stosunków przez pierwszą fabrykę pozbawiło Prusaków przez grudzień może 1000, a może nawet 2000 marek, butów pastą krajową czyszczono może o sto par więcej, wskutek czego pozostało w kraju 20—30 marek, wreszcie na zwrocie owego nożyka stracił jakiś Prusak jedną lub dwie marki. Natomiast założyliśmy stowarzyszenie dla opieki nad... bonami narodowości obcej, bo „znanym jest ciężki los osób młodych, szukających pracy za granicami swej ojczyzny“. Serce nasze jest szerokie, będziemy więc w pierwszym rzędzie bonom niemieckim, boć tych jest u nas najwięcej, „dawać odpowiednie wskazówki, dostarczać pracy, udzielać bezprocentowych pożyczek“, będziemy dla nich urządzali „wykłady, wspólne zebrania, zabawy“. Niema to, jak szlachetność, jak filantropia dobrze i właściwie pojęta. Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem. Nas „szukających pracy za granicami swojej ojczyzny“ wszędzie jak psów traktują, za to my zakładamy stowarzyszenia dla opieki nad bonami.

Ale wpadłem na inny temat, więc wracam do bojkotu. W pierwszym rzędzie jestem bardzo ciekawy, jak będą wyglądały po Nowym Roku nasze czytelnie w kawiarniach, handlach, restauracyach itd. Do tej chwili czytałem, że należy wyrzucać z nich *Jugend*. Czy tylko *Jugend*? Nie idzie mi o same pisma pruskie, ale kiedy mowa była na wiecach wogóle o „odniemczaniu“, czy jest w porządku, że w tych lokalach więcej jest pism niemieckich, niż polskich. I to nietylko dzienników, zazwyczaj polakożerczych, ale pism illustrowanych i humorystycznych. Idę w zakład, że tych ostatnich w lokalach publicznych jest trzy razy więcej, niż polskich. Z pism warszawskich wogóle jest tylko gdzieniegdzie *Kurjer Warszawski* i *Tygodnik illustrowany*. I to nietylko w Krakowie. Pamiętam, że w Stanisławowie przed laty w żadnej kawiarni nie znalazłem dziennika krakowskiego, a pod pismami niemieckiemi stoły się uginały. W roku bieżącym wstąpiłem do jakiejś kawiarni w Nowym Sączu i na dwa pisma polskie zastałem ośm niemieckich.

Albo inny... drobiazg. Z dzienników, które pisały przeciw nauce religii w języku niemieckim, możnaby ułożyć stos dwupiętrowy, a zajrzyjcie do książek do nabożeństwa naszych pań i panienek. Zobaczycie setki „obrazków“ niemieckich. Aż roi się *Jesusów, heilige Marie, der beste Rathgeber'ów, gute Engl'ów, Jesu-kind'ów, Maryj voll der Gnaden, Jesu-Kreuz'ów* itd., nie braknie i podpisów: *Jezisku, jsi-li tu?* albo *Svaty Prokope oroduj za nas*. A pomiędzy polskimi podpisami znajdzicie: *Jesu przikladzie cnot zmiluj sie nad nami*, albo *Swieta Maria Czestochoska*. Większość jest bez podpisów, ale dość spojrzeć, aby wiedzieć, że są niemieckiego *verlagu*.

Poruszam te drobiazgi dlatego, że gdzieindziej ich nie poruszono — niech każdy dorzuci coś od siebie, a może ktoś to razem zbierze i *ad oculos* przedstawi szanownej P. T. publiczności, jak ona pracuje na wzbogacenie kieszeni rodaków p. Bülowa.

Chwała Bogu, że od N. Roku, czy też w parę miesięcy po nim, będziemy mieli słodsze życie. Pomyśleli o tem panowie posłowie do parlamentu i zgodził się na to Ekscellencya Korytowski. Wszystkie ludy w Radzie państwa reprezentowane, płacą od lat wielu na drożyznę, a ten płacz w ubiegającym roku w donośny ryk się zamienił. Mięsa, chleba, węgla! - wołały wszystkie ludy tak ucywilizowane, jak pulpitami rzucające — naturalnie mięsa, węgla i chleba tańszego. Wyjątek stanowili piekarze, którzy z tej trójpotrzeby wybierali tylko mięso i węgiel, węglarze, domagający się jedynie tańszego chleba i mięsa i rzeźnicy, wyrażający swe oburzenie tylko na zdzierstwo piekarzy i węglarzy.

Doszły uszu posłów te błagania ludu, więc choć sami nie odczuwali tych potrzeb, bo otrzymali dodatek drożyźniany w formie dyet za czas nieposłowania, serca ich miękkie nie wytrzymały i stanęły przed Ekscellencyą z pokorną prośbą: ratuj ich, panie, bo któż nas wybierać będzie, jeżeli zginą z zimna i głodu? I zlitował się Ekscellencya i maluczko a funt cukru będzie tańszy o całe 4 halerze. Tak więc męże i niewiasty, którzy spożywacie dziennie pół funta cukru, zaoszczędzicie na każdą dobę 1 centa. Tym centem pokryjecie drożyznę, ten cent wam wynagrodzi ową koronę, którą conajmniej wydajecie codziennie więcej, niż wypada, na pieczywo, mięso i opał, tym centem usuniecie i niedobór, jaki budżet wasz przedstawia w skutek podwyższenia czynszu mieszkaniowego.

A ty, zacny wieśniaku, który cukru całkiem, albo mało co używasz, ciesz się szczęściem swych rodaków słodycz spożywających.

Zresztą czuwa nad twem dobrem narodzie i krajowy związek turystyczny. Postarał się dla ciebie o zniżenie biletów na kolejach... bośniackich, wyznaczył premię za najładniejszą wystawę sklepową, sprowadził na twój koszt, nakarmił i napoił urzędników ministeryalnych, a teraz na uwieńczenie swej działalności urządził b e z p ł a t n y kurs narciarstwa w Zakopanem. I czegóż ci więcej, kraju mój, potrzeba?

A nad spokojem twoim, ludu galicyjski, czuwa ministeryum oświaty. Ponieważ bracia Rusini dostają peryodycznie napadu wściekłości w czasie immatrykulacyi na uniwersytecie lwowskim, przeto ministeryum to postanowiło znieść immatrykulacyę. Środek ten znakomity, który należałoby szerzej zastosować. Ponieważ Rusini są niezadowoleni z namiestnictwa — znieść namiestnictwo. Ponieważ napada ich szał w parlamencie — znieść parlament. A przedewszystkiem znieść Polaków, bo ci działają na nich zawsze, jak czerwona chusta na byka. Wtedy byłby spokój, ustałoby „obrazoburstwo“ i łamanie pulpitów.

Nie na tem koniec opieki z „góry“. Wskutek narzekań na podrożenie opłaty od listów, „góra“ postanowiła, nie zniżyć owej opłaty (jeszcze czego!) ale dozwolić, aby listy miały nieco większą wagę. Będziesz więc mógł młodzieńcze miłujący pisać do pani swego serca, nie jeden arkusz za 10 halerzy, ale półtora arkuszyka za tę samą cenę.

Tyle na gwiazdkę dostaniesz narodzie. Jedno tylko twoje życzenie nie zostało uwzględnione — mimo usilnych starań Koła Polskiego — kólczykowanie świń pozostanie w swojej mocy.

To mi znów przypomina Prusaków. Nie ażebym chciał ich kólczykować, ale pragnę do albumu zbieranego przez Sienkiewicza, dodać jeden głos z poza grobu. Kiedy w r. 1888 toczyła się rozprawa polska w sejmie pruskim, znakomity mąż stanu i mówca Windthorst bronił praw języka polskiego i potępiał komisyę kolonizacyjną. Oto drobny ustęp z jego mowy:

„Protest przeciw t y r a n i i, który podnoszę teraz formalnie, będzie bezustannie działał i wkońcu dojdzie do zwycięstwa (głosy: przenigdy!) Panowie mówicie: przenigdy! — w polityce nie istnieje żadne przenigdy. Ale panowie nie jesteście politykami (wesołość)... Cofnijcie się panowie w dzieje rozwoju państwa i prawodawstwa niemieckiego, a zobaczycie, że nic na świecie nie jest zmienniejszem, jak ministrowie i prawa (wesołość). W wielkiej walce ludów, która bezwątpienia nas czeka, a w której n a r o d y p o g a ń s k i e i s ł o w i a ń s k i e w y j d ą w p o l e p r z e c i w g e r m a ń s k i m, mielibyśmy powód życzyć sobie, aby Polacy stanęli przy nas. W tej walce narodów będziemy pewno żałowali, żeśmy się chwycili środków wykraczających przeciw kulturze, przeciw prawom natury... Jestem przekonany, że te środki nie są ostatnimi w tym kierunku; wiem, że chcąc pozyskać pewne względy, jest zwyczajem szukać nowych środków, bo przedsięwziąć coś przeciw Polakom, jest teraz rzeczą przyjemną u góry. Ale ustanie łaska, skoro u s t a n ą l u d z i e, których łaskę chciano pozyskać...“

Kiedy ta walka, którą zapowiadał Windthorst, nastąpi, nie wiemy, ale to pewna, że od owego czasu zbliżyła się o lat 20, jak pewna, że „ustaną ludzie“ i że nie jest nic zmienniejszem, jak prawa. Ten głos z za grobu wielkiego męża stanu, głos Niemca, niech będzie „gwiazdkowym upominkiem“ dla tych, co wątpią, co upadają na duchu, nie pamiętając, że kiedy „Bóg się rodzi“, to „moc truchleje“. A Bóg (naturalnie nie pruski) to Prawda żywa, to Sprawiedliwość, która zawsze w końcu zwycięży i moce piekielne w proch obróci.

Kazimierz Bartoszewicz.





Smierć królowej wdowy saskiej: Królowa-wdowa Karolina.

„Ptaki“ Arystofanesa na scenie krakowskiej.

Ruchliwe „akademickie Koło artystyczne miłośników dramatu klasycznego w Krakowie“ urządziło w ubiegłym tygodniu trzeci z rzędu wieczór, poświęcony dramatowi klasycznemu. Na wieczór ten wybrano świetną komedyę Arystafenesa p. t. „Ptaki“, w przekładzie Józefa Szujskiego.

Przedstawienie poprzedził wykład dr. Lucyana Rydla, który w obszernym wywodzie scharakteryzował stanowisko wielkiego satyryka greckiego w dramacie klasycznym i podał zwięzły komentarz do jego „Ptaków“.

Po podniesieniu kurtyny ujrzeli widzowie niezwykłe zjawisko; na tle pięknego malowniczego ostępu górskiego, stanął szereg figur w barwnych kostyumach ptasich, o dziwnych kształtach dzióbów i rozmaitem upierzeniu. Ptactwo to prowadziło swój wywód chóralny, tworząc nim tło akcyi, toczącej się na pierwszym planie.

Studenci-amatorowie głosili z zapałem i szczerem przejęciem się piękne słowa Arystofanesa, urozmaicone i ożywione wspaniałą muzyką, specyalnie do tego utworu napisaną przez angielskich muzyków H. Huberta i H. Paryego a sprowadzoną przez „Koło“ z Oksfordu.

Wystawienie „Ptaków“ na scenie krakowskiej przeszło wszelkie oczekiwania, nietylko bowiem gra amatorów, oraz p. dyrektorowej Solskiej była bez zarzutu, ale wspaniale wypadła inscenizacya klasycznego dzieła, w czem zasługa artysty dramatycznego p. Zelwerowicza, reżysera „Koła“. Bardzo podobały się kostyumy, wykonane w tutejszej pracowni p. Bąkowskiego, a wzmianka zaszczytna należy się orkiestrze 13 p. p., oraz jej kapelmistrzowi p. Hockowi, który zinstrumentował tekst muzyczny.

Przepełniająca widównię publiczność hucznymi oklaskami nagrodziła pracę i trud „Koła“.

To też doskonałe przedstawienie tej interesującej sztuki Arystofanesa, zostanie niewątpliwie powtórzone, zwłaszcza że ogromne wydatki na staranną i pełną smaku wystawę, nie mogły być dochodem z jednego przedstawienia pokryte.



Zac'ęta walka atletów: Hackenschmid, sławny atleta rosyjski, przyszły przeciwnik Cyganiewicza, a dotychczas jeszcze niezwyciężony.



Apar tem red. W. Lis.

»Ptaki« Arystofanesa na scenie krakowskiej: Scena z ostatniego aktu.

Z lwowskiego bruku.

(Mój sen wigilijny).

Na Lwów spływał, w osłonie lekko prószącego śniegu, cichy, uroczysty wieczór wigilijny...

(No! jeszcze jedna nowela wigilijna — pomyślicie. Cierpliwości! Wnet przejdę do faktów, które — przyznam się — nawet mój pozytywny, kronikarski światopogląd powiesiły na boże drzewko fantazyi). Miasto prawie już opustoszało — tylko w centrach ruchu drgało jeszcze gorączkowe, przedświąteczne ożywienie. Ostatni ojcowie za ostatnie pieniądze kupują ostatnie podarki na drzewko — po ich wyjściu przeraźliwe opuszczanie żelaznych żaluzyj zwiastuje odpoczynek ciężko spracowanym sklepom. Tłumy z ludnych przed chwilą ulic, wpadają jak ćmy, w ciepłe ogniska familijnego żywota.

Wtulony w pożyczone futro stałem na kopcu wysokiego zamku, trzymając się silnie symbolicznego drąga polsko ruskiego przymierza. W chwili tej, gdy chłodny, północny wiatr i śnieżyca biły siłą całą w świeżo zlepione szkarpy pagórka — uwierzyłem gorąco, bez zastrzeżeń (pierwszy raz) w zdolności miejskiego urzędu budowniczego. Pragnąłem, by wbrew wszelkim podnoszonym zarzutom — plany magistrackiej rekonstrukcyi okazały się najgenialniejszymi w świecie...

Z wysokości wzniesienia, przez zawiej śnieżnych płatków, spoglądałem na powierzone mej opiece miasto. Biały płaszcz śniegu otulał je świąteczną ciszą wieczoru.. Życie drgało tylko w milionach rozelśnionych okien. Jakżebym chętnie znalazł się teraz gdzieś w zaciszu przy napalonym piecu i jaśniejącem drzewku! Począłem marznąć, zerwał się ostry, zimny wicher.

No, dobrze panie Gips — zapytacie — ależ po co pan wylazł na kopiec? Najbardziej znarowiony dekadent, w takie święto się myje, kupuje czysty kołnierz i idzie zmiatać pierogi do strasznie filisterskiej cioci. Więc?

Korzystając z tego, że wszyscy lwowscy reporterzy, wziąwszy urlop i zaliczkę, rozciągnęli się wygodnie na łonie familijnem — chciałem skorzystać z raz tylko w roku nadarzającej się sposobności, by interwiewować anioła, który z pierwszą gwiazdą miał się pojawić we Lwowie. Trzeba było wybrać do tego przedsięwzięcia punkt najwyższy we Lwowie i chwilę, dopiero co przezemnie w tak rozrzewniający przedstawioną sposób.

Z lornetką krajowego wyrobu w ręku a lękiem w sercu oczekiwałem jasności, mającej się na niebie ukazać, a z nią i ważnych wydarzeń.

Śnieg ustał padać. Niebo, jak to robi zwykle z sympatyi dla autorów nowelek gwiazdkowych, poczęło się wyjaśniać i z ołowianego, pochmurnego tonu przechodziło zwolna w głębię ciemnego granatu. Oto i pierwsza gwiazda!

Zadrżałem. W przestworzu dała się słyszeć daleka muzyka harf anielskich — słodka i upojna. Nagle uczułem lekki a przecie wyraźny szum — jasność rozświeciła przestrzeń — — koło mnie stanął wielki, biały anioł pokoju...

— Dobrze Gips, że jesteś.

Głos mi zamarł w gardle ze wzruszenia.

— Cóż mi więc powiesz o Lwowie? Czyż mogę zejść na miasto z dobrą nowiną? Zasługuje-li ono na niebieskie łaski?'

Ważność chwili nakazywała mi opanować w okamgnieniu wzruszenie. Rozpocząłem więc zdawna przygotowaną przemowę do niebieskiego gościa:

— Wysłańcze niebios! Miasto nasze, jak nigdy dotąd, stoi na najwyższym szczeblu cnoty i bogobojności. Że wskażę tylko na nieprzeliczone, wzniosłe dzieła ubiegłego roku...

— Nie jesteś przyjacielu referentem na zgromadzeniu. Mów do mnie prosto, bez okrasy. Ale jak widzę, tu u was straszne przeciągi. Zejdźmy do miasta, a po drodze opowiesz mi wszystko i wskażesz, co potrzeba.

Zeszliśmy więc po osamotnionych, ciemnych alejach wspaniałego zamku. Tu i owdzie majaczyła pod płotem skulona postać.

Po chwili weszliśmy w miasto. Chciałem wypełnić me zadanie jak najlepiej. W myśli przebiegałem wszystkie wielkie dzieła stolicy w ciągu ubiegłego roku — i nie wiedziałem od czego zacząć. Plątały mi się w głowie jatki z galeryą obrazów, wystawa hygieniczna z kinematografem, tani opał z uniwersytetem, jaegermanówki z tramwajem elektrycznym... Z zadumy wytrącił mię słodki głos mego towarzysza:

— Jakże, to u was pociągi kolejowe jeżdżą przez ulicę?

— Wysłańcze! To jest ta sławna rampa na Żółkiewskiem, o której i w niebie musieliście słyszeć... Były już w tej u nas sprawie przeróżne komisye, ankiety, obrady, było 12 wypadków nieszczęśliwych w ostatnim roku.

— A cóż to znów za pudło?

— To nasz tramwaj konny. Wnet go jednak zmienimy na elektryczny, tylko sprawa wyjdzie z komisyi magistrackiej... Mięso z koni pójdzie na zwalczanie drożyzny.

Poszliśmy wzdłuż ulicy Żółkiewskiej, nie wzbudzając na opustoszałych ulicach żadnej senzacyi.

Z za przymkniętych drzwi szynków dolatywały wesołe odgłosy zabawy. Na harmonii grano w dość skocznym tempie kolendy.

— Także to u was obchodzi się wieczór święty?...

— Panie — odrzekłem ze wstydem — przejdźmy w głąb miasta, nie sądź nas po tych zaułkach.

Właśnie do jednego z tych wesołych przybytków szło dwu ludzi, dźwigając ciężkie tłumoki.

— To pewnie zbiedzeni podróżni...

— Nie panie, to złodzieje — niosą do blatnika złowione rzeczy.

— A gdzież jest u was jakaś straż?

— Policya? Policya ma dziś wzmocniony posterunek pod konsulatem i uniwersytetem.

— Zaiste, wrócę ja w górę... Nie mam tu wiele do roboty...

— Panie! cierpliwości! Przecie nie widziałeś żadnego jeszcze z dzieł w dobrej woli poczętych...

Oto spójrz — tu ojcowie miasta złożyli tysiące sągów drzewa na opał dla biednej ludności.

— Tak, ale dochodziły mnie skargi w niebie, że opał jest drogi, mokry i o niepełnej wadze. Wozy zaś jeżdżą tylko po bogatszych ulicach.

— Przejdźmy do miasta...

Byliśmy już w ulicy Teatralnej.

Tu odechnąłem lżej — wskazując na gmach miejskiego muzeum przemysłowego, rzekłem:

— Tu mieści się największe kulturalne dzieło nasze z tego roku. Nabyliśmy wspaniałą galeryę obrazów, którą niedawno specyalni znawcy z Wiednia ocenili na tysiące...

— Kilogramów płótna. Szkoda, że nie porobiliście z niego sienników dla przytuliska brata Alberta..

Pokazywałem jeszcze Wysłańcowi z nieba stragany, gdzie się sprzedaje tanie mięso — pokazywałem piękne i okazałe gmachy nowych secesyjnych kamienic — nowe linie tramwaju do Kulparkowa, nowe gimnazya, nowe sikawki w magistracie — wydłubywałem mozolnie z pamięci wszystko, czem tylko Lwów mógł się poszczycić. Towarzysz mój nie był zadowolony... Byłem bliski rozpaczy.

Zaprowadziłem go do ratusza, gdzie na podwórzu w ośmnastu skrzyniach były nieprzeliczone akty grodu naszego:

— Panie, spójrz, co my zamierzamy jeszcze zrobić. Oto są wnioski, odesłane do różnych komisyi...

A na to uśmiechnął się pogodnie Poseł dobrej woli i rzekł:

— Tym razem przebaczę wam, albowiem wy jesteście tylko... głupi.

I zajaśniały weselem wszystkie rozświetlone okna. Wieczór święty zeszedł na Lwów.

Jerzy Gips.

Trafiła kosa na kamień.

Powieść na tle aktów policyi paryskiej, napisał W. K.

6 Ciąg dalszy.

— Ha! ha! — zaśmiali się kapitalista i malarz — jaki on zabawny, gdy tak deklamuje.

— Śmiejcie się, śmiejcie, ile wam się podoba, ale już bezemnie. Już mi tego za wiele.

Dr. Hargenrötter rzucił na mówiącego przenikliwe, kłujące spojrzenie i zwolna, stanowczo, głośno zapytał:

— Czego ci za wiele?

— Idź precz odemnie człowieku, czy dra...

— Milcz! — przerwał doktor stłumionym, ale energicznym głosem.

— Precz odemnie — powtórzył Jacques. Dość tego. Ta szulerka ustać musi i ustanie. Do mojej willi was nie puszczę.

— Nie wielkie to dla nas nieszczęście — bąknął malarz.

— Ej, on tylko żartuje, — zawołał kapitalista.

— Do kroćset dyabłów, nie żartuję. Idźcie sobie na cztery wiatry. Z tobą doktorze załatwię prędko rachunek, tylko powiedz, gdzieś podział moją siostrę. Słyszysz? pytam się, gdzieś podział moją siostrę?

Wszyscy spoważnieli, umilkli. Nastał ponury spokój, jak przed burzą; oczy zwróciły się na doktora. Ten stał spokojny, marmurowy; na twarz dobyło mu się z głębi duszy potężne skupienie i napięcie energii i woli. Rzucił na Jacqua kilka spojrzeń przeciągłych, wulkanicznych, tłoczących i Jacques nie dotrzymał oka, spuścił je, ręce mu opadły, jakby go jakiś bezwład ogarnął. Widząc to buchalter, podniósł się i z niejakiem wysileniem powiedział:

— Trzeba raz skończyć. Ja muszę powiedzieć wszystko.

— Milcz! — krzyknął doktor — milcz, rozkazuję. To, cobyś powiedział, byłoby szczekaniem psa. Milcz! — powtórzył.

Buchalter zamilkł, usiadł przerażony i trząsł się febrycznie. Kasyer rzucił pogardliwe spojrzenie na buchaltera i zaczął mówić zimno, szyderczo, zwracając się do Jacqua:

— Zapewne zapomniałeś o niejednem, o czem pamiętać by ci należało. Pozwól, że ci przypomnę, a uważaj dobrze, bo tych przypomnień będzie nie mało. Naprzód sam uknułeś plan uprowadzenia córki twego opiekuna i nakłoniłeś nas, abyśmy ci ten plan wykonać pomagali; przyrzekłeś nam każdemu z osobna po milionie franków — jeżeli się nam uda nakłonić pannę Blanc do zerwania z hrabią, a do oddania tobie swej ręki. Utworzyłeś straż czuwającą nad tem, ażeby pobytu panny Blanc nawet sam dyabeł nie odkrył; twoi zaufani czuwali nietylko w Paryżu, ale i na całej drodze z Paryża do Anglii; z twojego rozkazu zamordowano przez pomyłkę jakiegoś agenta z Orleanu, z twego rozkazu stało się, że detektyw angielski runął z balkonem do Sekwany. I teraz masz odwagę czynić nam jakieś wyrzuty, objawiać niezadowolenie? To zaczyna być zabawne.

Jacques słuchał tego otrętwiały, w głowie mu się mąciło, zdawało mu się, że śni. Skupiał pamięć i rozum, ale nie znachodził odpowiedzi na pytanie, jakim sposobem się to stało. Chwilami zdawało mu się, że to wszystko było snem i że teraz śni jeszcze; to znowu jakieś mgliste wspomnienia potwierdzały opowiadanie kasyera.

— Ależ to straszne, podłe, nikczemne. Ja tego uczynić z własnej woli nie mogłem — krzyknął Jacques i zerwał się z miejsca.

Na to przyskoczył do niego doktor, ujął go za ramię i rzekł rozkazująco:

— Siadaj! Skoroś poszedł z nami tą drogą, dalej iść musisz! czy chcesz, czy nie chcesz. Cofać się nie możesz, bo ci na to nie powolę.

— Dość tego. Nie pójdę z wami! raczej kula w łeb!

— E, nie potrzebnie nas straszysz, mój chłopcze — rzekł doktor ironicznie. Tego nie uczynisz, boś tchórz.

Jacques zerwał się, przyskoczył do doktora, jakby go chciał pięścią uderzyć, ale w tej chwili wszedł służący hotelowy i przyniósł najświeższe dzienniki. Jacques wziął jeden z dzienników do ręki, przepatrzył go prędko, natrafił na jakiś ustęp ciekawy, przeczytał go z uwagą, poczem wybiegł do przepokoju i zdjąwszy paltot z wieszadła, gotował się do wyjścia. Doktor pospieszył za nim i udając, że mu pomaga w ubraniu paltota, dotknął dłonią jego skroni. Pod tem dotknięciem Jacques podniósł rękę, jakby chciał doktora odepchnąć, ale wnet ręka opadła i Jacques wrócił do pokoju, jak ubezwładniony, machinalnie się poruszając. Doktor podsunął mu krzesło, ponownie dotknął się jego skroni i usiąść rozkazał. Potem wziął gazetę, przeczytał ów ciekawy ustęp, który Jacqua tak interesował, a potem rzekł do niego:

— Siedź spokojnie i słuchaj.

Jacques zwrócił oczy na doktora i posłuszny, gotów był do słuchania, a doktor czytał: „Szczególny zamach. Przewczoraj wieczorem stało się coś niezwykłego na Sekwanie, niedaleko kościoła Notre-Dame. * Przechodnie usłyszeli jakiś niezwykły łomot, a równocześnie taki szum i plusk w rzece, jakby do niej coś wielkiego spadło z wysokości.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Brudy pruskie.

Sensacyjny proces hr. Kuna Moltkego przeciw redaktorowi Hardenowi, który toczył się przed paru tygodniami, a zakończył się uwolnieniem Hardena, został wznowiony obecnie wskutek wniesienia skargi przez prokuratora. Poprzednio odpowiadał oskarżony redaktor przed sądem ławniczym wskutek skargi prywatnej hr. Moltkego, obecnie zaś stanął przed izbą karną.



Brudy pruskie: Poseł dr. Paasche.

Jak wiadomo, chodzi w tym procesie o zarzuty podniesione przez Hardena przeciw hr. Moltkemu w kierunku homoseksualizmu. Podobnie jak w pierwszym procesie, przesłuchiwać będzie sąd cały szereg świadków, między tymi rozwiedzioną żonę hr. Moltkego, panią Elbę.

W pierwszym procesie zeznania jej należały do najbardziej obciążających, bo w znacznej mierze potwierdziły zarzuty Hardena. Tak samo pewnie będą one brzmiały w toczącej się obecnie rozprawie, czy jednak wpłyną na uwolnienie oskarżonego, jest rzeczą wątpliwą, rząd bowiem usiłuje wpłynąć na trybunał, by Hardena zasądził.

Sprawa skandalicznych występków hr. Moltkego i jego przyjaciół, hr. Lynara, hr. Hohenaua itd., odbiła się też echem w parlamencie niemieckim. Poseł dr. Paasche mianowicie zaatakował ostro w swej mowie na jednem z posiedzeń ministra wojny, ponieważ owi panowie należeli do wybitnych osobistości w armii niemieckiej. Poseł Paasche domagał się od ministra, by zajął się bliżej kompromitującemi sprawkami hr. Moltkego i jego towarzyszów, oraz by przed parlamentem zdał sprawę z swych zarządzeń w tym kierunku.

Smierć saskiej królowej-wdowy.

(Do illustracyj na stronie 23).

Przed kilku dniami zmarła w uroczej willi Strehlen pod Drezném w siedmdziesiątym czwartym roku życia Karolina, królowa-wdowa saska. Wieść ta pokryła żałobą całe królestwo Saskie, zmarła bowiem królowa cieszyła się niezwykłą sympatyą poddanych.

Jako małżonka zmarłego w roku 1902 króla Alberta, królowa Karolina wyświadczyła wiele dobrodziejstw, opiekując się szczególnie najuboższymi. W roku 1854, naówczas jeszcze jako małżonka następcy tronu, objęła protektorat nad saskim związkiem Pestalozziego, który przez cały szereg lat popierała nie tylko swym wpływem, ale i znaczniejszemi sumami pieniężnemi, jak również i bezpośrednią pracą w towarzystwie. Niespożyte również zasługi położyła w Towarzystwie Alberta, którego cel równoznaczny jest z celami instytucyi Czerwonego Krzyża.

Zmarła królowa-wdowa była ostatnim potomkiem dynastyi Wazów, która miała swych przedstawicieli na tronie polskim. O rękę królowej Karoliny, jako księżniczki Noestern-Gotterp, starał się swego czasu Napoleon III, wystąpił jednak przeciw temu małżeństwu dwór austryacki, pod którego opieką znajdowała się wówczas księżniczka. Z powodu śmierci królowej, na wszystkich dworach europejskich ogłoszono kilkudniową żałobę.

Nowy prezydent związku szwajcarskiego.

(Do illustracyi na stronie 21).

Każdego roku obie izby parlamentu szwajcarskiego zbierają się w grudniu na specyalne posiedzenie, podczas którego w tajnem głosowaniu na-



Brudy pruskie: Rozwiedziona żona hr. Moltkego, p. Elbe Moltkowa. ze swym synem z pierwszego małżeństwa.

stępuje wybór nowego prezydenta Związku szwajcarskiego na rok następny. Wybór ten nie przynosi zazwyczaj żadnej niespodzianki, przeważnie bowiem wszystkie głosy padają na dotychczasowego wiceprezydenta. Raz jeden tylko odstąpiono od tego zwyczaju, obecny jednak wybór odbył się podług stałej normy.

Nowy prezydent, dr. Ernest Brenner, urodził się 1856 r. w Bazylei, gdzie też odbył studya prawnicze, poczem przebywał w Monachium i Lipsku, poświęcając się dalszym badaniom w zakresie nauk prawniczych. Po powrocie do rodzinnego miasta otworzył kancelaryę adwokacką, biorąc zarazem udział w życiu politycznem. W roku 1884 wszedł do Wielkiej Rady, a później zaliczony został do składu rządu kantonu bazylejskiego, w którym brał udział aż do czasu wyboru swego do Rady związkowej. Na swem wysokiem stanowisku zdziałał dr. Brenner wiele dobrego, zwłaszcza przez doprowadzenie do skutku księgi ustaw cywilnych. Nowy prezydent jest najmłodszym z siedmiu członków Rady związkowej, do której wszedł dzięki swej głębokiej wiedzy i zaletom charakteru.

Zagadki do nagrody

Szarada I.

Dziś dzwonię na alarm· do czynu! do rady!
Do broni!... a bronią niech jedność nam będzie,
Niech nawet i słowa niniejszej szarady
Posłużą nam, jako zachęty orędzie.
. . . .
U stóp *pierwszego drugiego*
Kornie pochylmy głowy,
Błagając Przedwiecznego,
By przyszły już Rok Nowy
Dał lepsze nam nadzieje,
Bośmy nie *drudzy trzeci*,
Których kto chce wyśmieje...
Wszak myśmy już nie dzieci!
Więc przy ramieniu ramię,
Pokażmy, żeśmy męże,
Że podłość nas nie złamie,
Że zdeptzem niecne węże!
Więc naprzód! W górę głowa!
Nabierzmy hartu stali,
W czyn swe zamieńmy słowa,
A zczezną wtedy *cali!*

Szarada II.

Kto *pierwszego trzeciego* pamiętniki czytał,
Z których jakby patrzyły naszych ojców duchy,
Ten napewno sam siebie w cichości zapytał:
A gdzież to się podzieli ci rycerze — zuchy,
Dla czego odżyć nie chcą w ciałach swych pradzieci,
I dla czego zanikły postacie marsowe,
Chociaż praojców przykład w dziejach nam tak świeci?...
Lecz my wolimy stękać w dół spuściwszy głowę...
A gdzież to te rumiane i zdrowe niewiasty,
Jako *druga* i *trzecia* z »Potopu« nam znana?
Każda teraz, to niby ptaszek ogoniasty,
Obciśnięta, opięta, w gorset zakowana.
Przepraszam, żem wpakował do mojej szarady
Narzekań całą górę, bawiąc się w tyrady,
Miast określić, że *cała* zbliża się — nadchodzi,
A pójdą na nią wszyscy: i starzy i młodzi.

Zagadka.

Ułożył Maryan z P.

W podanych wyrazach zmienić pierwsze litery, które zmienią znaczenie wyrazów i dadzą nazwę święta, obchodzonego co roku przez narody chrześciańskie.

1. Mary. 2. Astry. 3. Baba. 4. Iwa. 5. Los. 6. Orkan. 7. Mak. 8. Epoka. 9. Zuch. 10. Nakaz. 11. Alba. 12. Rów. 13. Ule. 14. Ara.

Rebus.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek, przeznaczamy **pięć** nagród:

I. Nagroda: Komplet dzieł Zygmunta Krasińskiego. 8 tomów (oprawne w płótno).

II. Nagroda: Trylogia Sienkiewicza („Ogniem i Mieczem", „Potop" i „Pan Wołodyjowski".

III. Nagroda: „Chłopi" Reymonta (3 tomy).

IV. Nagroda: „Wesele" Wyspiańskiego.

V. Nagroda: Kalendarz T. S. L. na R. 1908 bogato illustrowany.

Rozwiązania nadsyłać należy najpóźniej do 6-go stycznia 1908. Rozwiązania nadesłane po tym terminie, nie będą mogły brać udziału w losowaniu. Wynik losowania ogłosimy w numerze 2-gim „Now. Illustr." z dn. 11 stycznia 1908 roku.

Rozwiązanie zagadek z Nru 50

Szarada.

Warszawianka.

Łamigłówka krzyżykowa.

Kazimierz Przerwa Tetmajer.

Pytajnik.

Boże Narodzenie.

Od jednej z Prenumeratorek, Pani Hali Leligdowicz z Fragi, otrzymaliśmy rozwiązanie szarady napisane wierszem, który poniżej zamieszczamy.

Wny Pan Henryk Pianowski — poeta nielada;
Ledwie nieco pomyślał: gotowa szarada!
Wbił klina czytelnikom; — ale się nie damy
I dobre rozwiązanie w »Nowościach« podamy.
Więc najpierw rzecz z tą Warką; wiadomo jest przecie,
Że Warka ze zwycięstwa słynie w całym świecie.
Dalej o wianku mowa, lecz nie o bobkowym,
Który inaczej mówiąc zwą wieńcem laurowym,
Ale o wianku, który jest ozdobą duszy
I którego gdy strzeże — pewno nikt nie ruszy...
Aby zaś ta szarada miała swe znaczenie
Pożyteczne — więc kaszę dał na zakończenie.
W końcu cała zagadka pana Pianowskiego
»Warszawianką« przywodzi na myśl Wyspiańskiego.

tej też Prenumeratorce, za trafne rozwiązanie przeznaczamy nagrodę pt. »Chłopi« Reymonta.

Dobre rzwiązanie nadesłali Pp: A. Rotter Stanisławów, F. Kalita Gawłuszowice, Z. Ciechanowska Stary Sambor, J. Badura Rozdzień, C. Pieniążek Zurich, R. Jaworski Lwów, M. Opolska Czarny Dunajec. I. Dik Andrychów. H. Leligdowicz Fraga, A. Goyska Bolechów, K. Jurkiewicz Gwoździec, »Czytelnia Polska« Krechowice, K. Leskiewicz Warszawa, W. Macherski Częstochowa, E. Konstankiewicz Gorlice, H. Dowsilas Żywiec, E. Jurzyńska Warszawa, Z. Geppertowa Michowa, I. Talaga Mokrzyców. I. Schmidtówna Limanowa, »Salamis« Skwarzawa, A. Kmicic Warszawa, M. Arbeshauer Lwów, K. Fuchs Czeremchów, A. Polończykowa Żywiec, K. Chodkiewicz Zbydniów, Tow. »Czytelnia« Jordanów, S. Krynicki Cieszanów, F. Niepokój Krosno, M. Dyczkowska Żywiec, H. Gandnikowa Stary Sącz, A. Mussil Lwów, E. Mayer Milatyn nowy, B. Ramułtowa Jeżów, E. Bogdalska Koropuż.

Z półek księgarskich.

Jedna z najstarszych i najbardziej zasłużonych galicyjskich firm wydawniczych **Gubrynowicz i Schmidt we Lwowie**, przygotowała na podarki gwiazdkowe wielki zasób cennych książeczek. Z szeregu tych wydawnictw, na poparcie i jak najszersze rozpowszechnienie zasługują zwłasza dwa dziełka sceniczne: Franciszka Kruczkowskiego »W narodzenie Boże« i ks. Wróblewskiego »Szopka«. Firma ta nie zapomniała także i o naszych milusińskich, dla których wydała piękny Abecadlnik.

Głosy publiczne

Garderoba dla dzieci. Matki polskie zaprenumerować powinny od Nowego Roku zamiast niemieckiej »Kindergarderobe«, polską **»Garderobę dziecinną«**, czasopismo wychodzące we Lwowie nakładem p. R. Landaua, z tablicą kroju i dodatkami: »praktyczna gospodyni«, »kącik dla dzieci« itd. Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie i biura dzienników. Wynosi ona zaledwie 1·20 h., lub 60 kop. kwartalnie.

Salomon Wind, Lwów ulica Kopernika L. 30 Nowo otworzona i z największym komfortem urządzona

Restauracya i Pokój do śniadań

znakomita Kuchnia i zimne przekąski. Trunki pierwszej jakości. Handel Win i wyszynk Piwa Pilzneńskiego. O poparcie mego przedsiębiorstwa najuprzejmiej upraszam. 50—52



Filia c. k. uprzyw. galic. akc. Banku Hipotecznego

w Krakowie, Rynek główny 21 (Róg ul. Brackiej)

KANTOR WYMIANY **Kupuje i sprzedaje** pod najkorzystniejszymi warunkami wszelkie **papiery wartościowe**, banknoty zagran. i monety, wydaje przekazy na wszelkie większe miasta zagraniczne. **Wypłata wszelkich kuponów i wylosowanych efektów.** Zlecenia z prowincyi uskutecznia się odwrotną pocztą bez doliczenia prowizyi. Przegląda bezpłatnie numera losów i innych papierów podlegających losowaniu. Przyjmuje **ubezpieczenie** losów przed stratą z powodu wylosowania.

Filia c. k. uprzyw. gal. akc. Banku Hipotecznego w Krakowie

wydaje **oprocentowane asygnaty kasowe** oraz przyjmuje **wkładki** do oprocentowania w rachunku bieżącym, wydaje w tym celu książeczki wkładkowe. Otwiera na żądanie rachunki czekowe. Przyjmuje **depozyta** wartościowe do przechowania, udziela zaliczki na papiery wartościowe i uskutecznia zlecenia na zakupna lub sprzedaż efektów na wszystkich giełdach krajowych i zagran. Przyjmuje także większe przedmioty jak: kuferki, walizki etc. ze srebrem lub innemi wartościowemi przedmiotami do przechowania, co dla wyjeżdżających na pewien czas z Krakowa jest wielkiem udogodnieniem. Nadto zaprowadzono na wzór instytucyj zagranicznych tzw.:

SCHOWKI DEPOZYTOWE (Safe Deposits). **Depozytaryusz** otrzymuje **w stalowej kasie pancernej** umieszczonej w skarbcu **podziemnym** schowek do wyłącznego użytku pod własnym kluczem, gdzie **bezpiecznie a dyskretnie** przechować można swoje mienie lub ważne dokumenty. W tym kierunku poczynił Bank Hipoteczny jaknajdalej idące zarządzenia. Przepisy odnoszące się do tego rodzaju depozytów otrzymać można bezpłatnie w oddziale depozytowym.

Kasa zaliczkowa i pożyczki na zastawy!

Wejście przez bramę wchodową od ulicy Brackiej L. 1.

Filia udziela **zaliczki na skrypta dłużne** oraz na przedmioty **złote, srebrne i drogie kamienie**

Filia c. k. uprzyw. gal. akc. Banku Hipotecznego w Krakowie

posiada **MAGAZYNY TOWAROWE** przy **ul. Zacisze 9** z własnym torem kolejowym i prawem reekspedycyi. **Przyjmuje zboże i inne towary na skład.** — Podejmuje się na życzenie klientów we własnym zarządzie czyszczenia, przesypywania, mieszania i młynkowania zboża. Dla **produktów zagranicznych** posiada w obrębie składów **magazyn tranzytowy**, korzystający z wyłączności cłowej i reekspedycyi. Wszelkie transakcye uskutecznia się jak najszybciej za miernem wynagrodzeniem.

Dra Kovácsa Pasta do rąk

W użyciu nieprześcigniona, w przeciągu trzech dni nadaje ręce delikatność i białość. **Jeden słoik K 1·20**

Międzynarodowy tępiciel włosów

do prędkiego i pewnego wytępienia niepotrzebnych włosów na twarzy i na rękach. **Jedna butelka K 6·—**

Do nabycia we wszystkich aptekach i drogueryach. Wysyła za zaliczką apteka **„Mariahilf“, Budapeszt,** Liszt Ferencz tér 20.

42—52 1—7

8?—51

Kinematograf.



Bardzo interesujące dla dzieci i dorosłych, również do użycia jako „latarnia magiczna“ z 3 kolorowymi obrazami paskowymi (Films) i 6 szklannych obrazów, 3½ cm. szeroki, naftowa lampa, reflektor i kompletne objaśnienia na kartonie K 16·—. Przez ten kinematograf mogą być tak przez młodych jak i starszych mile widziane żywe obrazy przedstawione na ścianie. Mechanizm jest bardzo prosty i pojedynczy, tak że każde dziecko może go bardzo łatwo poznać.

Zamawiać należy wprost

c. i k. nadworny dostawca

HANNS KONRAD

Dom wysyłkowy w Brüx Nr. 552 (Czechy).

Bogato ilust. polskie cenniki kinematografów, latarń magicznych maszyn par. mech. zabawek przesyła na żądanie darmo i opłatnie.

MARKA OCHRONNA

M. O. ESPERANTO W. S. L.

17—52 1—16 (1908)

Pierwsza galicyjska fabryka Bielizny i Kołder

Wiktor Sedlaczek, Lwów

plac Kapitulny 3

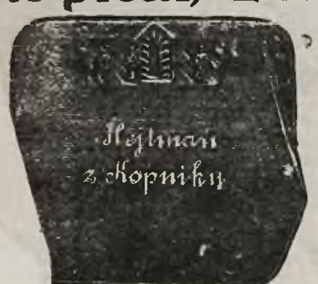
Poleca **kołdry na wełnie** po Kor. 10, 14, 18 do 60. **Puchowe** po K 30, 36, 44. — **Materace, siienniki, poduszki z pierzem, prześcieradła** na łóżka bez szwu po K 2·60 do 3·20, zszywane po K 1·90 do 2·20. **Prześcieradła pod Kołdry** na guziki bez szwu po K 4·80, 5·40, 6·40, **Poszewki** białe po K 1·80, 2·20. — **Koszule** męskie i dla chłopców białe i kolorowe. **Kalesony** męskie i dla chłopców. **Skarpetki** męskie i dziecinne w gatunkach trwałych. — **Płótna** czysto lniane, **stołową bieliznę, ręczniki, chustki do nosa, ścierki, szyfony, płótno bawełniane** na każdą bieliznę i prześcieradła bez szwu, płótna i dymki na kalesony.

Ceny fabryczne. Cenniki franko.

Nowość! C. k. Patent. **Nowość!**

Portmonetka-łamigłówka Nr. 7360

Kapitan z Köpenik



Portmonetka -bezpieczeństwa- może być tylko przez wtajemniczonych otwartą. Sposób użycia dołącza się do każdej sztuki. — Bez niego nikt nie jest w możności otwarcia portmonetki. Okucie jest eleganckie niklowe, zamknięcie bardzo silne, skórka pierwszej jakości, jasnobrązowy safian, silna podszewka skórzana, silne ze przedziałki na złoto z osobnem okuciem, 3 przedziały szerokie, 7½ cm. wysokie, wyrób solidny i trwały.

47—52 **Cena 2 Kor.** 1—14

Rozsyłka za zaliczką lub za nadesłaniem poprzednio pieniędzy.

C. k. nadworny dostawca

Hanns Konrad Dom wysyłkowy **w Brüx, Nr. 861** (Czechy).

Główny katalog z 3000 rycin. w języku polskim, na żądanie darmo.

Rządowo uprawniona

Fabryka wód mineralnych sztucznych

i specyalnych leczniczych

pod firmą

K. Rząca i Chmurski

Telefon 227 **Kraków, ul. św. Gertrudy L 4** Telefon 227

Wyrabia pod kontrolą komisyi Przemysłowej Towarzystwa Lekarzy krakowskich — polecone przez toż Towarzystwo

Wody Mineralne

odpowiadające składem chemicznym wodom:

Bilińskiej, Gieshueblerskiej, Selterskiej, Vichy, Maryenbadzkiej, Homburg, Kissingen

tudzież specyalne lecznicze, jak: **litową, bromową, jodową, żelazistą,, Kwaśną,** oraz **wody mineralne normalne** z przepisu prof. Jaworskiego.

Sprzedaż cząstkowa w drogueryach i aptekach. Cenniki na żądanie franko.

Jedynie praktyczny

Aparat do golenia



o 12-tu ostrzach, najtańszy w użyciu — sprzedaje **Alfons Menšik**, handel żelaza, **Kraków, Floryańska 34**

Hermann Steil, Lwów

Teatralna L. 16

Poleca do wypraw ślubnych

Kompletne Sypialnie, Jadalnie, Buduary, Salony. Meble żelazne, gięte i tapicerowane. Kapy na łóżka, Narzuty na otomany i stoły.

Dogodne warunki spłat.

CUKIERNIA ADAMA PIASECKIEGO

w Krakowie, ul. Długa 10

Filia:

ulica Floryańska L. 2

Hotel Drezdeński Kraków

Poleca wielki wybór cukrów i czekoladek

Własny wyrób czekolady

»Krakowianka« mleczna czekolada i orzechowa.

„MERKURY“

GAZETA LOSOWAŃ I HANDLOWA

ADRES ADMINISTRACYI: **KRAKÓW**, RYNEK GŁ. L. 5.

Dokładne wykazy wszystkich ciągnień. **Popularny** dział handlowy.

Prenumerata całoroczna K 3·60, półroczna K 1·80

Bezpłatny dodatek:

„ROCZNIK FINANSOWY“

zawierający wykazy wylosowanych a niepodjętych wygranych.

Promesy „Merkura”

Losów kredytowych z r. 1858 po 18 kor.

Główna wygrana 300.000 koron.

Losów regulacyi Dunaju po 10 koron

Główna wygrana 140.000 koron.

Ciągnienie powyższych losów dnia 2 stycznia 1908

Losów Boden-Credit II. emisyi po K 5·50

Główna wygrana 100.000 koron.

Ciągnienie odbędzie się dn. 5 stycznia 1908

Wszystkie 3 promesy tylko 32 koron 50 hal.

LOSY ORYGINALNE

po kursie dziennym lub na spłaty miesięczne, poleca

Kantor wymiany **Braci EIBENSCHÜTZ, Kraków,** Rynek gł. L. 5